NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 5 października 1907. Nr. 40.

Nowy gwałt pruski.

(Treść na str. 2).



Od Administracyi.

Ponieważ z numerem dzisiejszym rozpoczął się trzeci kwartał wydawnictwa, przypominamy Szanownym P. T. Abonentom naszym, że

czas odnowić przedpłatę!

Celem uregulowania nakładu naszego pisma prosimy wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów o wczesne nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnym otrzymywaniu naszego pisma.

Kto nie nadeśle przedpłaty najpóźniej do 9-go października, temu już nie wyślemy numeru 41.

W Królestwie Polskiem można prenumerować za pośrednictwem naszego głównego zastępcy:

Biura G. Ungra w Warszawie ul. Wierzbowa 8, lub Aleja Jerozolimska 78.

Na prowincyi w Królestwie i Cesarstwie, przyjmują przedpłatę na pismo nasze oprócz biur Ungra w Warszawie, wszystkie księgarnie.

Prenumerata w Galicyi do końca roku, już wraz z przesyłką pocztową, wynosi **tylko 4 K.** **w Królestwie wraz z cesarstwem już z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.**

Nowoprzystępujący prenumeratorowie otrzymają **bezpłatnie** początek drukującej się obecnie sensacyjnej powieści p. t.:

„Zbrodnia przy ulicy Monge“.

Nowy gwałt pruski.

(Do illustracyi tytułowej).

Do listy gwałtów, popełnianych przez Prusaków na naszych braciach, przybył nowy wypadek, stwierdzający dowodnie, iż rząd pruski traktuje Polaków jako wyjętych z pod prawa i w stosunkach z nimi nie liczy się ani z żadnymi, choćby dla nich mniej korzystnymi przepisami, ani z sumieniem, o którem tak często jego widome głowy lubią prawić, a w szale nienawiści, w dążeniu do zgniecenia żywiołu polskiego nie zna granic, ni miary.

Wypadek, o którym mówimy, wydarzył się niedawno w miejscowości Hochstrass, w obwodzie rejencyjnym dyseldorfskim. W stronach tych, choć one obecnie na wskróś zgermanizowane, żyje bardzo wielu Polaków, pracujących w najrozmaitszych tamtejszych fabrykach. Robotnicy polscy opierają się skutecznie wszelkim zakusom germanizacyjnym i stąd rząd pruski stara się ich na każdym kroku prześladować i gnębić. Mimo nieustannych szykan Polacy wierni są swej narodowości i utrzymują między sobą scisłe stosunki, związani w klub polski. Jedno z ostatnich zebrań tego klubu, odbywające się w miejscowej oberży, zostało zerwane przez policyę, która znalazła jakąś drobną nieformalność i skorzystała z niej, by przeszkodzić obradom Polaków. Większość zebranych zastosowała się do wezwania policyi, choć czuła i zdawała sobie sprawę z tego, że to niecne bezprawie. Kilku tylko oparło się gwałtowi pruskiemu i stąd przyszło do ostrego starcia słownego. Od słów przyszło wnet do bójki między opierającymi się a policyantami, którzy pewni poparcia swych przełożonych, rzucili się na polskich robotników i poczęli do nich strzelać. Robotnicy polscy byli również uzbrojeni, więc strzelanina stała się obustronną. Oczywista rzecz, że polała się obficie krew. Padli dwaj robotnicy bez życia, a 14 zostało ciężko zranionych, również dwaj policyanci odnieśli rany.

Niesłychany ten gwałt popełniony na polskich robotnikach, spowodował wśród kolonii polskiej w tych stronach Niemiec ogromne oburzenie.



Fot. I. Seebald, Kraków.
Skon polskiej matrony: Katarzyna z hr. Branickich Adamowa hr. Potocka.

Skon polskiej matrony.

W pałacu Krzeszowickim rozstała się z tym światem pani o wielkiej duszy i wielkim umyśle, zmarła matrona polska cnót pełna, której imię łączy się bardzo ściśle z dziejami Krakowa, Katarzyna z hr. Branickich hr. Potocka, wdowa po śp. Adamie.

Śp. Katarzyna Potocka urodziła się w 1825 r. w Lubomlu a poślubiwszy w 1847 roku hr. Adama, osiadła z mężem w Krakowie i razem z nim brała bardzo czynny i żywy udział w ówczesnym ruchu politycznym Przy boku męża bawiła też przez czas jakiś za granicą, w szczególności w Paryżu, gdzie ś. p. Adam Potocki walczył w szeregach gwardyi narodowej na barykadach. Towarzyszyła mu również w tych czasach, gdy uwięziony z powodu swych przekonań, został wywieziony do Wiednia, a potem do Tryestu. Po uwolnieniu powrócił hrabia Adam do Krakowa, właśnie w owym czasie, gdy straszny pożar obrócił w perzynę znaczną część miasta. Śp. Adamowa zorganizowała skuteczną pomoc dla pogorzelców a nadto sama osobiście rozdawała hojne zapomogi w swym pałacu „pod Baranami“.

Kiedy następnie hr. Adamowie Potoccy objęli dobra Krzeszowickie, otoczyła dostojna matrona ciepłą, serdeczną opieką lud miejscowy wiejski a i dla urzędników i robotników w swych dobrach była zacną opiekunką. Odegrała wybitną rolę w zakładaniu szkół po wsiach, kas pożyczkowych, zakładów filantropijnych, ufundowała kilka kościołów w swoich dobrach, zaprowadziła emeryturę dla oficyalistów i służby w swym majątku. Owdowiawszy 1872 r. poświęciła się pracy nad wychowaniem swych dzieci i osobiście kierowała zarządem olbrzymich dóbr.

Do ostatnich chwil życia składała dowody dobroczynności i miłosierdzia. Otarła dużo łez, przyczyniła się do wielu dzieł dobroczynnych jako przewodnicząca krakowskiego tow. dobroczynności.

W ostatnich latach z powodu podeszłego wieku i z powodu gasnących zwolna sił, przebywała prawie wyłącznie w Krzeszowicach i tam oddała Bogu piękną swą duszę.

Cześć jej pamięci!

Arcyksiążę Leopold Salwator na łowach w Galicyi.

Galicya posiada wiele bardzo pięknych, uroczych zakątków. Jednym z takich zakątków jest w powiecie doliniańskim miejscowość Wygoda, obok niej leżący Mizuń i dalej wśród gór romantycznie położone: Mizuń nowy, Sołotwina, Ludwikówka itd. Piękne tam, wysokie, pokryte dziewiczymi lasami góry, a wśród nich urocze widoki i krajobrazy. Nic więc dziwnego, że miejsca te upodobał sobie arcyksiążę Leopold Salwator i corocznie przyjeżdża tam na polowanie z księciem Koburskim, księciem Lobkowitzem i wielu innymi dostojnymi gośćmi.

Jak corocznie, tak i tego roku przyjechał 16 września, aby zapolować w tamtejszych lasach, pełnych zwierzyny. Już w czasie przyjazdu zgromadziło się mnóstwo ludzi na stacyi, aby powitać arcyksięcia. Trzeba bowiem stwierdzić, że arcyksiążę, przyjeżdżając tam od lat kilku, zjednał sobie wszystkich swoją przystępnością, dobrocią i szlachetnością. Najlepiej objawiła się ta popularność arcyksięcia w niedzielę 22 września. Arcyksiążę przyjechał na sumę do rzym. kat. kościoła w Wygodzie. Oprócz władz pod przewodnictwem starosty doliniańskiego, deputacyj, towarzystwa weteranów, straży pożarnych, zgromadził się mimo deszczu cały lud okoliczny, aby powitać dostojnego gościa. Po przywitaniu przy bramie kościoła proboszcz z Wygody wprowadził go do kościoła bardzo pięknie przystrojonego. Tutaj arcyksiążę ku zbudowaniu zgromadzonych, w największem skupieniu wysłuchał klęcząc w przygotowanej loży całej mszy św. Następnie prowadzony przez miejscowego proboszcza, zwiedzał arcyksiążę miejscową szkołę, pozostającą pod kierunkiem zakonnic SS. Franciszkanek z rodziny Maryi. Zachwycony wzorowym porządkiem złożył zakonnicom życzenia



Fot. »Zofia«, Dolina.
Arcyksiążę Leopold Salwator na łowach w Galicyi: Powitanie arcyksięcia na dworcu w Wygodzie.

„Szczęść Boże w poczciwej pracy“, poczem odjechał do Mizunia ze swem towarzystwem, gdzie odbył się objad w domu pp. Jaworskich.
Nad wieczorem arcyksiążę odjechał do swego pałacyku myśliwskiego, a po kilku dniach pobytu, urozmaiconego łowami, opuścił Galicyę.

Wielki książe badeński.

Już od dłuższego czasu z cichej i uroczej wyspy Mainau, na jeziorze Bodeńskiem, rozchodziły się niepokojące wieści o śmierci jednego z najsędziwszych monarchów europejskich, wielkiego księcia Badeńskiego. Pogłoski, na razie fałszywe, sprawdziły się jednak, okrywając żałobą dwór badeński.
Fryderyk Wilhelm Ludwik, wielki książę badeński, liczył w chwili zgonu 81 lat, urodził się bowiem 1826 r., jako syn wielkiego księcia Leopolda i szwedzkiej księżniczki Zofii, z domu Holstein Gottorp Waza, córki króla szwedzkiego Gustawa IV; w zmarłym więc księciu płynęło i kilka kropel krwi monarchów polskich.
Po śmierci ojca objął rządy początkowo jako regent z powodu choroby starszego brata, lecz już w r. 1856 przybrał tytuł księcia, pomimo iż istotny władca zmarł dopiero we dwa lata później. W roku wstąpienia na tron, książe Fryderyk zawarł związek małżeński z Ludwiką, córką Wilhelma I. króla Prus, które już wtedy poczynały dobijać się pierwszorzędnego stanowiska w Niemczech. Pomimo jednak tego pokrewieństwa, książe ulegając opinii publicznej, podczas wojny prusko-austryackiej musiał wystąpić przeciw hegemonii Prus, w obronie związku niemieckiego. Po porażce Austryi, a zwłaszcza po klęsce Francyi w r. 1870, wielkie księstwo badeńskie zostało przyłączone do utworzonego wówczas cesarstwa Niemieckiego.
Zmarły książe za swych niepodległych rządów w Badenie odznaczał się liberalnością. Odrazu po wstąpieniu na tron przywrócił dawną konstytucyę i przywileje sejmu. Ogłosił równouprawnienie żydów, poprzednio jeszcze zapewnił kościołowi katolickiemu i protestanckiemu niezależność od rządu. Zgoda jednak z kuryą rzymską nie była trwałą, rwała się kilkakrotnie, zwłaszcza wobec praw o małżeństwach cywilnych i nadzorze szkolnym. W ostatnich latach z powodu sędziwej starości, zmarły książe osobiście mały tylko przyjmował udział w rządach, powierzając ster księstwa następcy swemu. Przytem liberalny książe nie zawsze mógł się zgodzić z butą pruską, która bezczelnie rozpościera się w niepodległych do niedawna państwach niemieckich. Tron badeński obejmie syn zmarłego, Fryderyk Wilhelm Ludwik.



Wielki książe badeński: Fryderyk Wilhelm, zmarły wielki ks. badeński.

Walka o sejmową reformę wyborczą.

Podjęta prawie równocześnie z walką o powszechne głosowanie do parlamentu walka o reformę ordynacyi wyborczej sejmowej, dochodzi do kresu. Celem uchwalenia zmian w przestarzałej tej ordynacyi, zebrał się sejm galicyjski na ostatnią sesyę, a w klubach, komisyach, subkomitetach i kuloarach sejmowych toczy się żywa dyskusya w tej sprawie. Plenum sejmu dotąd nie zajmowało się jeszcze kwestyą reformy. Dostanie ono odnośny projekt wówczas, gdy między prawicą a lewicą Izby nastąpi porozumienie, kompromis, tą tylko bowiem drogą może przyjść do uchwalenia upragnionych przez szerokie masy społeczeństwa zmian.
Celem poparcia tych żądań, celem zamanifestowania, jak powszechnem jest w kraju wołanie o reformę wyborczą, zainicyowała lwoska partya socyalno-demokratyczna w ubiegłą niedzielę wielką demonstracyę, w której główną rolę odegrało wysłanie deputacyi robotników z całego kraju do marszałka Stanisława hr. Badeniego.
Już przed godziną 10 rano kordon żandarmeryi pod dowództwem porucznika i komisarza policyi zamknął dostęp do gmachu sejmowego tak od strony ul. Trzeciego Maja, jak od strony ulicy Mickiewicza. Napływające tłumy zajęły w dwóch lub trzech szeregach cały front przed ogrodem Jezuickim, oraz część ulicy Trzeciego Maja, wyczekując przybycia deputacyi; zjawiła się ona z uderzeniem godziny 11 przed południem, entuzyastycznie witana przez zorganizowanych robotników.
Marszałek przyjął deputacyę w wielkiej sali Unii Lubelskiej i wysłuchał przemówienia polskiego, wygłoszonego przez posła do Rady państwa Hudeca i ruskiego przemówienia posła sejmowego Szmigielskiego, poczem odpowiedział po polsku i po rusku, zapewniając deputacyę, że reforma wyborcza najprawdopodobniej w tej kadencyi jeszcze będzie przeprowadzona i uchwalona.
Deputacya po tem zapewnieniu opuściła salę, a wówczas przed gmachem sejmowym poseł dr. Diamand wygłosił do zebranych tłumów przemowę, nawołując do dalszej walki o powszechne, równe, bezpośrednie i tajne głosowanie do sejmu.
Na tem skończyła się demonstracya socyalistyczna, a uczestnicy jej w zupełnym spokoju rozeszli się do domów. Czy wpłynie ona w jakikolwiek sposób na przekonania członków sejmu, zwłaszcza jego większości, jest rzeczą bardzo wątpliwą. Cennem jest tylko — zwłaszcza wobec pesymistycznych głosów prasy wszelkich odcieni — oświadczenie marszałka, iż reforma wyborcza do



Fot »Zofia«, w Dolinie.

Arcyksiążę Leopold Salwator na łowach w Galicyi: Arcyksiążę Leopold Salwator (1) wraz z otoczeniem na placyku przed kościołem w Wygodzie. Ks. Lobkowitz (2); radca cesarski Huber (3); proboszcz ks kanonik Doroziński (4); lustrator lasów Jaworski (5); radca A. Beckman (6); właściciel dóbr Beckman (7); starosta w Dolinie Głażewski (8).



Fot. M. Münz, Lwów.

Walka o sejmową reformę wyborczą Kordon żandarmeryi, otaczający gmach sejmu w czasie demonstracyi robotnicz



Fot. M. Münz, Lwów.

Walka o sejmową reformę wyborczą: Deputacya, zdążająca do marszałka kraju.

sejmu zostanie niewątpliwie w ciągu bieżącej sesyi uchwaloną.

Z okazyi tej demonstracyi przed sejmem zamieszczamy w dzisiejszym numerze zdjęcia fotograficzne, przedstawiające gmach sejmowy, otoczony kordonem żandarmeryi, dalej deputacyę robotników, zdążającą przed tłumami robotników do sejmu i wreszcie też samą deputacyę po posłuchaniu u marszałka, w czasie przemówienia p. Diamanda.

Młode gniazdo sokole.

Funkcyonaryusze największej w kraju fundacyi polskiej, Zakładu dla sierót i starców w Drohowyżu, założyli przed rokiem, wspólnie z gronem inteligencyi z pobliskiego miasteczka Mikołajowa, towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ i dzięki niestrudzonym usiłowaniom kilku jednostek, doprowadzili gniazdo to do bardzo pięknego rozwoju; liczy ono obecnie z górą 100 członków.

Salę gimnastyczną, oraz przyrządy i przybory wszelkie do ćwiczeń odstąpiono towarzystwu przez zarząd fundacyi skarbkowskiej, na czele której stoi członek-założyciel i prezes gniazda, hr. Fryderyk Skarbek. Dzięki jego zezwoleniu i zainteresowaniu się sprawą „Sokoła“, zawdzięcza towarzystwo, iż bez żadnych wydatków i kosztów mogło się tak rozwinąć i doprowadzić swą działalność do pewnych rezultatów.

Zawiązaniem towarzystwa w Zakładzie skarbkowskim wprowadzono żywszy ruch pomiędzy mieszkańcami i funkcyonaryuszami tej miejscowości i okolicy, a urządzaniem wieczorków patryotycznych i obchodów narodowych, wpływa się ogromnie dodatnio na wychowanie młodzieży Zakładu w duchu czysto patryotycznym i polskim.



Fot. M. Münz Lwów.

Walka o sejmową reformę wyborczą: Deputacya robotników po wyjściu od marszałka. Przemówienie dr. Diamanda. (X)

Niezwykła siła zębów.

(Do ilustracyi na stronie 9).

Na scenie berlińskiego „Walhalla“ teatru popisuje się obecnie niezwykły artysta, bo w prostej linii potomek praojca wszystkich siłaczy, mitologicznego Atlasa. Berliński jednak „Auto-Atlas“, bo tak się nazywa nasz mistrz siły, szczęśliwszy jest od swego praszczura, greckiego tytana. Ojciec Hesperyd bezskutecznie szturmował do nieba, wypędzono go bowiem sromotnie z pod bram raju, zwalając mu na barki sklepienie niebios, które on do tej pory podtrzymywać musi. Nauczony przykładem swego przodka, nasz nowoczesny tytan inaczej zabrał się do dzieła, by podbić dla siebie raj artystów i oklaski publiczności. Walkę o zdobycie sławy prowadzi nie muskułami i oszczepem, lecz zębami, bronią bądź co bądź niezwykle oryginalną. Na razie to narzędzie walki służy mu doskonale. Jak widzimy na załączonej rycinie, na scenie ustawiono rusztowanie żelazne, pośród którego znajduje się samochód na linach, ważący 700 klgr. Atleta nasz opiera się na rękach tylko, na szyję zarzuca sobie jeden pas rzemienny od tych lin, podczas gdy drugi trzyma w zębach i w tej poziomej postaci cały korpus ciała opuszcza ku dołowi, wznosząc do góry głowę, a wraz z nią i samochód, w którym znajdują się jeszcze dwie osoby. Cały więc ciężar, jaki wytrzymać muszą zęby atlety, przenosi 800 klgr. Niezwykła ta siła zębów maleje jednak, gdy rozważymy, na czem istotnie polega cała istota tej gimnastycznej produkcyi. Sztuka ta oparta jest na zasadzie równowagi. Główną rolę odgrywają wyprężone ręce, na których opiera się całe ciało artysty, jakby pozioma deska z przyczepionymi do jej końców ciężarami. Jednym ciężarem jest samochód, drugim — cały korpus atlety, wraz z siłą fizyczną, jaką on przedstawia. Jeden koniec tej deski, opuszcza się ku dołowi, natenczas drugi wznosi się ku górze. Ręce muszą być naprężone, gdyby bowiem zgięły się w łokciu, cała ta waga nie miałaby już oparcia. Zastosowanie więc prawa fizycznego do ekwilibrystyki daje tak niezwykłe wyniki, które i my możemy wkrótce oglądać będziemy.

Na tym przykładzie można się znowu przekonać jak wielkie, jak doniosłe znaczenie ma na każdem polu znajomość zasadniczych praw fizyki. Najtrudniejsze, najcięższe na oko zagadnienia można rozwiązać, posiadając tych praw znajmość.



Młode gniazdo sokole: Wydział gniazda sokolego w Drohowyżu.

L. de Laëre.

Tajemnica „Czerwonego Stawu".

Tłómaczyła z francuskiego Marya S.

1

ROZDZIAŁ I.

Czerwony Staw.

W pogodny dzień czerwcowy dwóch studentów i dwie młode dziewczyny wychodziło z pociągu na stacyi Fontenay. Równocześnie rozległo się donośne trzaskanie z bata i człowiek w niebieskiej bluzie, siedzący na koźle starego powozu, nawoływać zaczął krzykliwie:

— Proszę siadać do Robinson, moi państwo! Proszę siadać!

— Siadajże Żorżetko! — zawołała jedna z młodych dziewcząt, wskakując ze śmiechem do powozu. — Jestem okropnie głodna! Sądzę, że w Robinson podadzą nam obfite śniadanie, nieprawdaż? A potem pojedziemy do Czerwonego Stawu łowić ryby.

Całe towarzystwo po pół godziny znalazło się w obszernej i jasnej sali restauracyi, gdzie z apetytem zasiadło do przyrządzonego dla nich na prędce śniadania.

— Czy wiesz Nano — rzekła młoda brunetka, nazwana przez przyjaciółkę Żorżettą. gdy w chwilę później znaleźli się na ulicy — że wolałabym się przejechać powozem, niż szukać teraz tego Czerwonego Stawu, o którym nie wiemy nawet, gdzie się znajduje.

— Żorżetto, tylko nie nudź! Każde dziecko nam wskaże drogę.

— Hej! obywatelu — zawołał Gaston Dubler, młody dziennikarz do przechodzącego wieśniaka— czy nie możesz nas objaśnić, w której stronie znajduje się Czerwony Staw?

— Ot tam! za tą kępą drzew na prawo — odpowiedział zapytany, wskazując na lasek, czerniejący w dali.

— No! to dalej! chodźmy! —zadecydowała Nana.

Wkrótce przybyli do wskazanego miejsca, ale napróżno rozglądali się w około. Ani śladu stawu.

— Ten wieśniak zażartował sobie z nas — rzekł Jerzy Heudes, młody muzyk, należący do towarzystwa. — Trzeba nam się skierować w inną stronę.

Po godzinnem, bezowocnem szukaniu, młodzi ludzie znaleźli się przed oberżą.

— Wejdźmy tutaj odpocząć trochę — zaproponował Gaston Dubler. — Patrzcie no! Ta oberża wygląda bardzo romantycznie.

Oberża pod „Złotem strzemieniem" należała wówczas do niejakiego Ulmanna, człowieka o bardzo tajemniczej przeszłości, który wcale nie budził zaufania okolicznych mieszkańców. Wysoki i chudy, twarz surowa, zimna, wyrażała niezłomną wolę i zuchwałość. Z poza niebieskich okularów oczy jego o stalowym połysku patrzały badawczo i przenikliwie. Mały chłopiec, o zuchwałym wyrazie t. a rzy, wyszedł naprzeciw wchodzących gości.

— Czem mogę służyć? — zapytał.

— Podaj butelkę wina i butelkę limoniady — odpowiedział Jerzy Heudes — i powiedz nam, mój przyjacielu, czy pochodzisz z tych stron?

— Tak jest panie, z Aulnay.

— A więc może wskażesz nam, gdzie się znajduje Czerwony Staw. Jeżeli nas tam zaprowadzisz, dostaniesz dwa franki.

— Z całą przyjemnością, jeżeli tylko pryncypał pozwoli — odparł chłopiec i pobiegł do Ulmanna prosić o pozwolenie przewodniczenia podróżnym w ich poszukiwaniach. Wkrótce całe towarzystwo ruszyło w dalszą drogę.

— Oh! widzicie tam ten śliczny domek? — zawołała nagle Żorżetta. — Jak ładnie wygląda na tle tych starych drzew. Czy nie wiesz, mój chłopcze, przez kogo jest on zamieszkany?

— Ten domek jest własnością pewnej młodej damy w żałobie, wdowy... Podobno mąż jej został niedawno zamordowany.

— I sama mieszka tutaj?

— O nie! Jest tam z nią ogrodnik, stary Klemens i panna służąca, Julka, moja wielka przyjaciółka — odpowiedział chłopiec z komiczną powagą. — A i pies tam jest także taki duży jak osioł, który szczeka od rana do nocy. Oh! to szczególne, że nas jeszcze nie zwąchał.

— Wiesz Jerzy! Kto wie, czy ta młoda wdowa, o której ten mały mówi, nie jest pani de Trèves. Mówiono mi, że zamieszkała w tej okolicy po tragicznej stracie męża.

— To możliwe — odparł Gaston.

— Oh! jesteśmy już na miejscu — zawołał wesoło młody przewodnik — państwo wejdą w ten gąszcz i zaraz napotkają stawek. Tam panie nałowią więcej żab niż ryb — dodał wybuchając śmiechem i wziąwszy pieniądze, podane mu przez Jerzego, podskakując i gwiżdżąc zawrócił do oberży.

Dziwne, niepokojące wrażenie ogarnęło młodych ludzi, gdy znaleźli się sami w miejscu, otoczonem dokoła gęstemi drzewami. U nóg ich rozciągał się staw... Właściwie było to wielkie bagnisko, zarośnięte sitowiem i dzikiemi trawami. Gruby rdzawo-czerwony kożuch pokrywał wodę, która miejscami przeglądała po przez ciemne, lśniące liście lilii wodnych. Ponury cień szedł od starych drzew, stojących nad brzegiem i nadawał temu zakątkowi dziwnie tajemniczy nastrój. Nana rozczarowana nagle spoważniała i z lękiem obejrzała się wokoło. Byłaby z ochotą zrezygnowała już ze swojego pragnienia, ale obawiała się złośliwych dowcipów towarzyszy. Żorżetta zła i niezadowolona, usiadła z Jerzym na kępie mchu i chmurnie patrzała przed siebie. Gaston zaś fabrykował improwizowaną wędkę z gałązki leszczyny i szpilki ostro zakrzywionej; kawałeczek czerwonej wstążki, oderwany od kapelusza Nany, służyć miał za przynętę. Po chwili Nana z okrzykiem radości pociągnęła silnie wędkę, na końcu której trzepotała się mała biała rybka. Całe towarzystwo odzyskało nagle utracony humor. Nawet Żorżetta, przejęta przykładem przyjaciółki, zapragnęła zarzucić wędkę. Nana, zachwycona dalszem powodzeniem, w wesołych podskokach biegała nad brzegiem bagienka. Po chwili zapragnęła spróbować szczęścia po drugiej stronie. Z trudnością zaczęła przedzierać się przez gąszcz, krwawiąc sobie ręce o kolce i wystające ciernie. Wkrótce znikła z oczu siedzących nad brzegiem przyjaciół. Nagle straszny okrzyk przedarł ciszę.

— Jerzy! Gaston! do mnie! ratujcie!

Żorżetta pierwsza skoczyła w gąszcz na pomoc przyjaciółce. Gaston i Jerzy biegli za nią. Z trudem odnaleźli miejsce, skąd ich głos Nany doszedł. Młoda dziewczyna, śmiertelnie blada, klęczała na mchu z oczami, uparcie skierowanemi w stronę moczaru. O kilkanaście kroków od niej, w cieniu wielkiego dębu, pokrytego czarnym, gęstym mchem, nawpół zakryta zwojami dzikiego bluszczu i sitowia — widniała głowa ludzka — głowa kobiety o strasznie wykrzywionej twarzy, której oczy o szklanym połysku z wyrazem nieopisanej trwogi patrzały w próżnię. Gaston Dubler przemógł się siłą, podszedł do Nany i odciągnął ją przemocą razem z Żorżettą w głąb lasu, poczem obaj młodzi ludzie powrócili nad brzeg fatalnego bagniska. Nie omylili się. Tak, to była głowa kobiety, długie włosy i ramiona występowały wyraźnie z traw splątanych. Całe ciało pogrążone było w gęstem, czerwonawem błocie.

— Niewątpliwie zaszedł tu wypadek jakiejś strasznej zbrodni — rzekł drżącym głosem Jerzy Heudes. — Trupa nie należy ruszać aż do nadejścia komisyi; czemprędzej dajmy znać odnośnej władzy o wypadku. Patrz! przecież widoczne jest, że ta nieszczęśliwa nie żyje! Jej już przyjść z pomocą nie możemy!

— Masz słuszność — odparł Gaston. — Ty biegnij natychmiast do wsi, a ja pozostanę tymczasem tutaj.

Jerzy Heudes oddalił się spiesznie. Dobiegłszy do wsi kazał się zaprowadzić do posterunku żandarmeryi. Po kilku minutach tragiczna wieść roznosiła się po wsi lotem błyskawicy. Zawiadomiono komisarza policyi, mieszkającego w Sceaux. Jerzy zaś w towarzystwie dwóch policyantów powrócił na miejsce wypadku. Po godzinie nadjechał komisarz w towarzystwie swojego pomocnika, lekarza, dwóch ajentów i kilku policyantów. Kazał kordonem otoczyć lasek, który przepełniony był już drżącą z ciekawości publicznością i rozpoczął badanie. Wydobyto nieszczęśliwą ofiarę z bagniska i przeniesiono do najbliższego domu. Była to młoda siedmnastoletnia dziewczyna, ładnej i drobnej postaci. Ubrana była bardzo skromnie: biały fartuszek, który nosiła, wskazywał, że musiała być służącą. Lekarz natychmiast przystąpił do oględzin zwłok.

— No i cóż tam doktorze? — zapytał komisarz.

— To szczególne — odpowiedział zapytany. — Na ciele nie znajduję żadnych śladów walki... Ot, tu na ramionach i głowie są małe obrażenia, ale w żaden sposób nie mogły spowodować śmierci ofiary! Twarz zaś skurczona nerwowo wyraża szaloną przedśmiertną walkę, zdawaćby się mogło, że nie zaszedł tu niespodziewany nieszczęśliwy wypadek, tylko zbrodnia. Ale, ale, patrzno pan, panie Desmarets!...

Mówiąc to, lekarz wskazał na niewielki siny znak, znajdujący się na szyi zmarłej. Ten sam znak był widoczny na tyle głowy.

— Widzi pan — powtórzył lekarz — teraz nie mam już wątpliwości — ta kobieta została uduszoną i wrzuconą do bagniska.

— A więc pan twierdzi stanowczo, że i śmierć nastąpiła z powodu uduszenia? — spytał komisarz.

— Tak jest, z całą pewnością — odparł lekarz zmywając dalej gąbką twarz i piersi zamordowanej. — Siność twarzy i oczy szeroko otwarte, utwierdzają mnie jeszcze silniej w tem przekonaniu...

Komisarz wyrwał kartkę z notesu i nakreślił na niej kilka słów.

— Panie Grenier — zwrócił się do swojego sekretarza. — Postarasz się pan w Robinson o powóz i sam zajmiesz się wysłaniem tej depeszy. Zawiadomiłem dyrekcyę... Czy nikt nie zna tej dziewczyny? — dodał spojrzawszy na otaczających.

— Zdaje się, że to jest służąca z tej okolicy— rzekł jeden z żandarmów.

— Jednakże jej ręce są zanadto delikatne jak na służącą — zauważył lekarz. — A to? naparstek, chusteczka znaczona literą J — zawołał wyciągając wzmiankowane przedmioty z kieszeni fartuszka zmarłej. — Oh! i koperta, ale na nieszczęście uszkodzona: „Panna Janina Guillot u pani... w Rob..." Oho! te wskazówki są cenne.

W tej samej chwili żandarm, który od dłuższej chwili przyglądał się uporczywie zwłokom, krzyknął lekko i szybko zbliżył się do komisarza.

— Już wiem! — zawołał — Widziałem tę dziewczynę rozmawiającą z małym Loroit'em, chłopcem od pana Ulmanna, oberżysty z pod „Złotej ostrogi". Tak jest, panie komisarzu, to jest służąca tej pani w żałobie, która mieszka tam, w tym białym domku na drodze do Plessis...

— Popatrzcie, czy niema tu w tłumie tego małego Loroit'a, o którym mówicie — rozkazał komisarz.

— Jestem tu, panie komisarzu — zawołał chłopiec, ukazując się nagle z za pleców jakiegoś barczystego wieśniaka.

— Czy ty jesteś Loroit, służący pana Ulmanna — zapytał komisarz, uczyniwszy lekarzowi znak, aby zakrył twarz zamordowanej dziewczyny.

— Tak jest, panie komisarzu.

— Czy nie przelękniesz się, gdy ci pokażę tę zamordowaną kobietę?

— O nie! — zawołał żywo chłopak.

— A więc zbliż się i powiedz, czy poznajesz tę dziewczynę.

Chłopiec pochylił się i odsunął chustkę zakrywającą twarz ofiary. Nagle zbladł, zachwiał się i wybuchnął rozdzierającym płaczem.

— Żanetka! moja biedna mała Żanetka! — szeptał urywanym głosem — Zabili ją! Zamordowali moją Żanetkę. — I z jękiem osunął się na ciało zmarłej.

Na znak dany przez komisarza wyniesiono zemdlałego chłopca. Tymczasem tłum ciekawych wzrastał. Wieść o morderstwie, dokonanem w Czerwonym Stawie, poruszyła umysły mieszkańców cichej wioski. Loroit, którego ocucono z trudem, zeznał płacząc ciągle, że zamordowana była jego najdroższą przyjaciółką i służyła we wsi u młodej wdowy, której domek znajdował się niedaleko. Komisarz postanowił więc udać się tam bezzwłocznie.

— Panowie już mogą odejść — rzekł zwracając się grzecznie do Jerzego i Gastona — ale wolałbym, abyście się panowie zatrzymali aż do przybycia sędziego śledczego, którego telegraficznie zawezwałem. Zeznania panów są ważne.

— Jesteśmy na usługi pana komisarza — odpowiedzieli obaj młodzi ludzie. — Czy możemy panu towarzyszyć?

— Z całą przyjemnością.

— Ale gdzie są nasze towarzyszki? — szepnął Jerzy przyjacielowi. — Zostawiłem je w restauracyi we wsi — odparł Gaston. — Nie lękaj się o nie.

Około godziny szóstej komisarz w towarzystwie żandarmów stanął przed domem, zamieszkanym przez panią de Trèves. Przy zwłokach pozostał jeden z ajentów i czterech policyantów. Komisarz zadzwonił... ale nikt się nie ukazał... Zadzwonił silniej... i poruszył niecierpliwie klamką. Drzwi były zamknięte.

— Proszę otworzyć w imieniu prawa — zawołał komisarz donośnym głosem.

W domku panowała cisza. Żandarmi podeszli do okien. Okienice były hermetycznie zamknięte od wewnątrz.

— Przynieść siekierę — rozkazał komisarz.

Po chwili drzwi, roztrzaskane w kawałki, nie broniły już przejścia.

ROZDZIAŁ II.

Stary Klemens.

Domek, zamieszkany przez panią de Trèves, był otoczony dookoła ogródkiem kwiatowym. Komisarz obejrzał go dokładnie i nie znalazł na nim żadnych śladów; również zamknięte okiennice nie uległy najmniejszemu zniszczeniu.

— Pozostaniecie tutaj Crevon — rzekł komisarz, wchodząc do mieszkania. — Nie wiadomo, co znajdziemy w tym domu. Panowie Grenier i Barot będą mi towarzyszyć.

W wąskim, długim przedpokoju panowała zupełna ciemność. Nagle komisarz, który skierował się ku schodom, cofnął się przerażony. Na pierwszym stopniu schodów leżało jakieś duże kudłate cielsko.

— Co to jest? — zawołał komisarz. — Pies zabity?

Ajent Barot pochylił się i uniósł łeb zwierzęcia. Był to ogromny pies tygrysiego koloru. Miał na szyi szeroką i głęboką ranę, z której krew spływała strumieniem na dywan.

— Do wszystkich dyabłów! — zaklął pan Desmarets — Cóż tu się stało?

Przebiegł prędko dolne pokoje. Wszystko było w jak najlepszym porządku. W jadalni stał stół zastawiony jakby do obiadu.

— Idźmy na górę — rzekł komisarz.

Otworzył pierwsze drzwi na prawo i znalazł się w ładnym bogatym saloniku. Na jasnym dywanie widniały ślady krwi i prowadziły do drzwi zakrytych ciężką zasłoną. Komisarz uniósł zasłonę. W tej samej chwili potoczyło się coś u jego nóg. Drżąc ze wzruszenia pan Desmarets pochylił się i podniósł ów przedmiot. Był to nóż, którego wąskie długie ostrze było całe krwią świeżą pokryte. Komisarz postąpił krok naprzód i nagle stłumiony okrzyk wyrwał się z jego piersi. Sypialny pokój, do którego wszedł, przedstawiał straszny widok. Na łóżku, w rogu pokoju, leżała cudnej urody kobieta. Koszula na niej była na strzępy podarta, a prześcieradło zwisało na ziemię w nieładzie. Piersi i ramiona kobiety pokryte były licznemi, kłutemi ranami. Twarz, której zbrodnicza ręka mordercy nie tknęła, była biała jak marmur. Długie, ciemne włosy wiły się po poduszkach. Komisarz w asystencyi detektywa chciał już przystąpić bliżej do łóżka, gdy nagle coś się poruszyło za firanką i wyłoniła się przerażona, o siwych włosach twarz mężczyzny.

— Jeżeli się ruszysz wpakuję ci kulę w mózg — zawołał detektyw Barot, rzucając się z rewolwerem nabitym w ręku na nieznajomego.

Ale ręka jego, groźnie wyciągnięta, opadła natychmiast bezwładnie.

— To stary Klemens — szepnął zdumiony.

Na znak, dany przez komisarza, dwóch żandarmów przyskoczyło do człowieka, nazwanego przez detektywa starym Klemensem i założywszy mu kajdanki na ręce, wyprowadziło na środek pokoju. Uwięziony nie bronił się, ogłupiałem spojrzeniem powiódł wokoło, z piersi jego wydobył się głuchy jęk, poczem zwiesił głowę na piersi i zapadł w ponure milczenie. Człowiek ten, ubrany w robotniczą bluzę, mógł mieć lat sześćdziesiąt kilka. Twarz jego była chuda i koścista. Z niebieskich oczu biła szczerość i odwaga. Długie siwe włosy spadały mu na szyję i wysokie, rozwinięte czoło. Ręce jego i ubranie były przesiąknięte krwią, która zalewała cały pokój.

— Jeżeli sędzia śledczy nie przybędzie pociągiem o wpół do ósmej — rzekł komisarz zwracając się do swojego sekretarza — weźmiesz pan powóz i udasz się sam do dyrekcyi policyi. Sprawa ta nabiera zatrważających rozmiarów.

Ale w kilka minut później rozległ się turkot na ulicy, któremu towarzyszył donośny okrzyk:

— Sędzia! sędzia śledczy przyjechał!

Komisarz wyszedł na spotkanie przybyłego i w krótkich słowach objaśnił mu stan rzeczy, poczem razem weszli do pokoju, gdzie leżała nieszczęśliwa ofiara. Na widok młodej kobiety przestrach i ból odmalował się na twarzy sędziego.

— Ależ to pani de Trèves — szepnął wzruszony — Julka! nieszczęśliwe dziecko! Czy niema nadziei ratunku?—zapytał zbliżając się szybko do lekarza.

— Żadnej, panie sędzio. Sądzę, że zdołam ją przyprowadzić do przytomności na kilka godzin.— Ale rany te są śmiertelne.

— Panie doktorze! Czyń pan co możesz, aby utrzymać jak najdłużej życie tej biednej kobiety. Ach! co za traf okrutny! Ta kobieta jest córką mojego najlepszego przyjaciela.

Zapanowało krótkie, przygnębiające milczenie.

— Czy to morderca? — zapytał po chwili patrząc ze wstrętem na uwięzionego człowieka.

— Tak jest, panie sędzio — odpowiedział komisarz.



W cieniu wielkiego dębu, na wpół pokryta zwojami bluszczu i sitowia, widniała głowa ludzka.

Sędzia natychmiast przystąpił do zbadania oskarżonego.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

Oskarżony milczał.

— Jak się nazywasz? — powtórzył sędzia tłumiąc poryw gniewu, który nim nagle wstrząsnął.

Uwięziony zadrżał. Spojrzał na żandarmów, stojących przy nim, na ręce skute łańcuszkami i nagle straszny okrzyk wyrwał się z jego piersi:

— Czego odemnie chcecie! Puśćcie mnie!

Silnem szarpnięciem rozerwał kajdany i skoczył naprzód. Wywiązała się straszliwa walka między uciekającym a żandarmami. Klemensa wściekły szał ogarnął. Nie mogąc uciec z pokoju wtulił się w róg i uzbrojony w ciężkie krzesło bronił się zapalczywie, wywijając niem jak laską. Oczy jego krwią nabiegły — na spoconem czole wystąpiła sieć grubych, sinych żył. Twarz i ręce pokrwawione wyglądały okropnie. Nagle sekretarz silniej uderzony, runął z jękiem na ziemię.

— Strzelać! — rozkazał komisarz.

Miano już usłuchać rozkazu, gdy ajent Barot, który od chwili wycofał się z walki, skoczył jak tygrys na broniącego się coraz zacieklej człowieka i pochwycił go silnie wpół. Klemens zachwiał się, stracił równowagę i zwalił się na ziemię, pociągając za sobą ajenta. Przez chwilę słychać było głuche uderzenia ciała o podłogę, chrzęst naciąganych kości i przyspieszony gwałtowny oddech walczących. Nareszcie ajent powstał z trudem, ubranie jego zwisało w strzępach, ze zranionego oka krew grubemi kroplami ściekała po twarzy; przeciwnik zemdlony leżał na ziemi z powiązanemi rękami i nogami.

ROZDZIAŁ III.

Konfrontacya.

Dziewiąta godzina biła na miejskim zegarze. Pod domkiem, gdzie odbywało się śledztwo, zebrał się tłum groźny. Wieść, że mordercą jest stary Klemens, ogrodnik, wzburzyła mieszkańców wioski.

— Na śmierć! Na śmierć z nim — rozlegał się głuchy okrzyk po ulicy.

Kilku żandarmów napróżno starało się przywrócić spokój i porządek. Trochę na uboczu stały dwie młode dziewczyny, Żorżetta i Nana i kłóciły się komicznie ze strażnikiem leśnym, który chciał je pociągnąć do odpowiedzialności za nieprawne wkradanie się do cudzej posiadłości.

— Ale powiadam panu, żeśmy nie czytały napisu, wzbraniającego wstępu do lasu — krzyczała Nana czerwona ze złości.

— To mnie nic nie obchodzi. Proszę podać swoje nazwiska.

— Nazywam się Nana, a moja przyjaciółka Żorżetta.

— Ale to nie dosyć!

— Nie dosyć! No to masz pan jeszcze.

Mówiąc to dziewczyna z miną młodego łobuza przystawiła obie szeroko rozpostarte ręce do nosa, kręcąc palcami jak młynkiem. Publiczność wybuchnęła śmiechem. W tej samej chwili podjechał pod dom powóz, mający zawieść do miasta zranionego sekretarza. Dziewczęta skorzystały z zamieszania i uciekły szybko do restauracyi.

Śledztwo ciągnęło się dalej. Stary Klemens, przywrócony do przytomności, zapadł w stan lekkiego odrętwienia. Z trudem zdołano go namówić, by odpowiadał na pytania. Zeznał, że nazywa się Klemens Gibier i dopiero od trzech miesięcy objął w charakterze ogrodnika zajęcie u pani de Trèves. W przeddzień zbrodni spotkał się wieczorem z jakimś wędrownym kramarzem, który zaciągnął go do gospody pod „Złotem Strzemieniem“. Powrócił stamtąd o godzinie dziesiątej. Służącej nie zastał w kuchni. Pani de Trèves uczyniła mu wymówkę, że tak późno wraca i rozkazała wyjść naprzeciw dziewczyny, powracającej z Sceaux. Czuł się jednak bardzo ciężkim i osłabionym; wrócił po cichu, pozamykał drzwi na klucz, gdyż Żanetta posiadała drugie klucze i położył się spać. Spał w rogu dużego korytarza na parterze; przechodząc, potknął się o psa „Tygrysa“, który spał na dywanie na schodach. Około północy zbudziło go uporczywe ujadanie psa. Powstał z trudem — głowa mu nieznośnie ciężyła i powlókł się do sypialni swojej pani, skąd dobiegały go głosy. Gdy wszedł spotkał się w progu z zamaskowanym człowiekiem, który odrazu rzucił się na niego, uderzył silnie w głowę i powalił nieprzytomnego na ziemię. Odtąd już nie pamiętał co się stało.

Protokulant spisał drobiazgowo zeznanie starego ogrodnika. Gdy tenże zamilkł, sędzia bystre i zimne spojrzenie utkwił w jego twarzy i nagle wyjął z pod surduta skrwawiony nóż, który podsunął pod oczy oskarżonego.

— Czy znasz ten nóż? — zapytał.

Klemens zbladł; nerwowe drżenie wstrząsnęło jego ciałem.

— Ten nóż jest moją własnością — rzekł stłumionym głosem — został mi ukradziony.

— Ukradziony, kiedy, przez kogo?

— Nie wiem.

— Miałeś go wczoraj wieczór?

— Nie przypominam sobie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wyścigi automobilów na Semmeringu.

W niedzielę d. 22 września odbył się na wspaniałej drodze Schottwien-Semmering najważniejszy w Austryi wyścig automobilów i powiódł się pod każdym względem doskonale. Zainicyowany przez austryacki klub automobilistów i przez ten klub urządzony, stanowił dowód, iż sport automobilowy wysoko stoi w Austryi. Charakter międzynarodowy podniósł wartość sportową zawodów.

Zainteresowanie, jakie towarzyszyło pięknym wyścigom, było w całem Wiedniu bardzo duże. Na Semmeringu i w około zebrały się tysiączne tłumy, stawiła się cała arystokracya miejscowa, to też miejsce zawodów przedstawiało widok, jaki można oglądać w dniu Derby. Obok ubrań sportowych, których było bardzo wiele, mnóstwo wspaniałych toalet damskich, obok automobilów, motocyklów, rowerów, najpiękniejsze pojazdy.

Przebieg zawodów był bardzo interesujący, a w program ich wchodziły prócz wyścigów automobilów, także wyścigi motocyklów. W wyścigach motocyklów zdobyły pierwsze nagrody maszyny Laurin et Klement.

Największe zainteresowanie towarzyszyło jednak wyścigowi wielkich automobilów. Stanęło ich do startu z klasy tzw. Taunus-wagen czternaście. Najlepszy czas uzyskał tu pan Willy Pöge, na wozie „Mercedes“, poprawiając swój tamtegoroczny rekord 7 min. 47 sek. na 7 min. 29·2 sek. Rezultat ten, nadspodziewanie dobry, powitano z powszechnym entuzyazmem, zwycięscy zaś urządzono gorącą owacyę.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne, przedstawiające zwycięscę dyr. W. Pöge'a z żoną, na zwycięskim wozie.

Kongres naftowy w Bukareszcie.

Przemysł naftowy, rozwinięty wysoko w Galicyi, w Rumunii i na Kaukazie, przechodzi ciężkie przesilenie. Wskutek nadmiernej produkcyi ropy nastąpiło znaczne obniżenie cen, skutkiem którego wiele przedsiębiorstw znalazło się w położeniu bardzo ciężkiem. Celem obmyślenia środków zaradczych i celem usunięcia braków w przemyśle naftowym, odbył się w dniach od 8 do 14 września w Bukareszcie III. międzynarodowy kongres naftowy.

Dzięki hojnej subwencyi rządu miejscowego, który na cele przyjęcia uczestników kongresu przeznaczył 150.000 fr., oraz dzięki składkom nafciarzy rumuńskich, którzy na ten cel ofiarowali dwa razy tak wielką kwotę, kongres obfitował w cały szereg wspaniałych przyjęć, urządzonych z iście królewskim przepychem.

Dnia 7 września, w przededniu otwarcia kongresu, zebrali się uczestnicy w liczbie około 700 w wspaniałych salonach ministerstwa spraw zagranicznych, podejmowani gościnnie przez prezydenta ministrów Sturdzę. Dnia następnego odbyło się uroczyste otwarcie kongresu w pałacu Ateny. Popołudniu odbyło się otwarcie wystawy naftowej w pawilonie królewskim, pozostałym z zeszłorocznej wystawy jubileuszowej. Przez szereg



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

Wyścigi automobilów na Semeringu: Zwycięsca dyr. W. Pöge z żoną.



Fot. Julietta, Bukareszt.

Kongres naftowy w Bukareszcie: Bankiet na cześć uczestników kongresu na tarasie pałacu sztuk pięknych.

dni następnych obradowały poszczególne sekcye kongresowe na uniwersytecie; obrady przerwane zostały gremialną wycieczką do najgłówniejszych ognisk przemysłu naftowego, do Boican, Bustenari, Campiny i letniej rezydencyi królewskiej w Sinaia.



Panorama Styki w Warszawie: Twórcy panoramy bitwy pod Sybinem: Spányi, Rozwadowski, Styka, poniżej Wywiórski i Nágo.

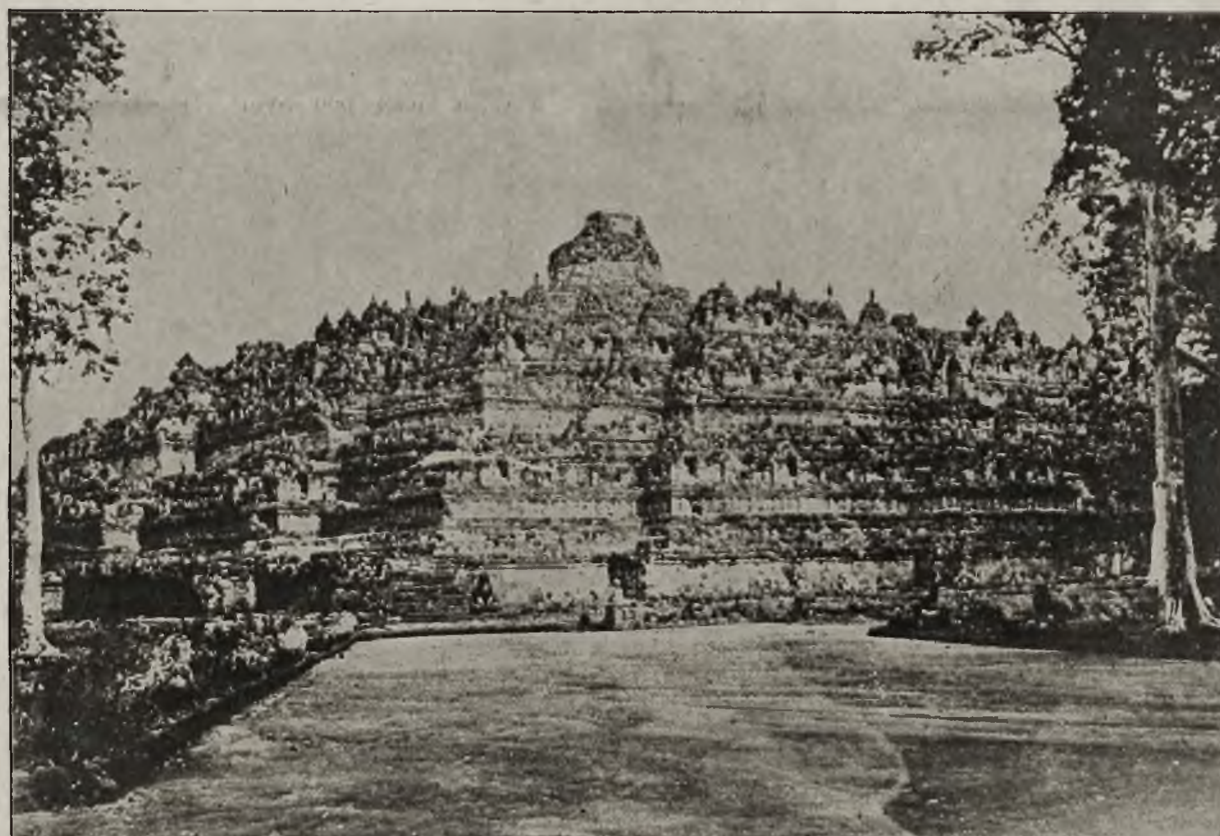
Odjeżdżających uczestników kongresu długo i serdecznie żegnali pozostali. Oświetlony parowiec oddalał się powoli od brzegu, a ze statku i z bulwaru portowego brzmiały bez przerwy okrzyki, wznoszone na cześć Rumunii, życzenia szczęśliwej drogi — i rychłego zobaczenia się w Galicyi za lat trzy. Na ostatniem bowiem posiedzeniu uchwalono następny międzynarodowy kongres naftowy urządzić we Lwowie na wniosek zastępcy rządu austryackiego prof. Hoeffera i wiceprezesa komitetu galicyjskiego prof. Załozieckiego. Komitet galicyjski czeka ciężka praca, by choć w części dorównać Rumunii pod względem wspaniałych przyjęć; spodziewać się jednak należy, że na polu pracy ściślej, na polu techniki i wiedzy fachowej, nasi przemysłowcy przyćmić się nie dadzą.

Odkopana świątynia.

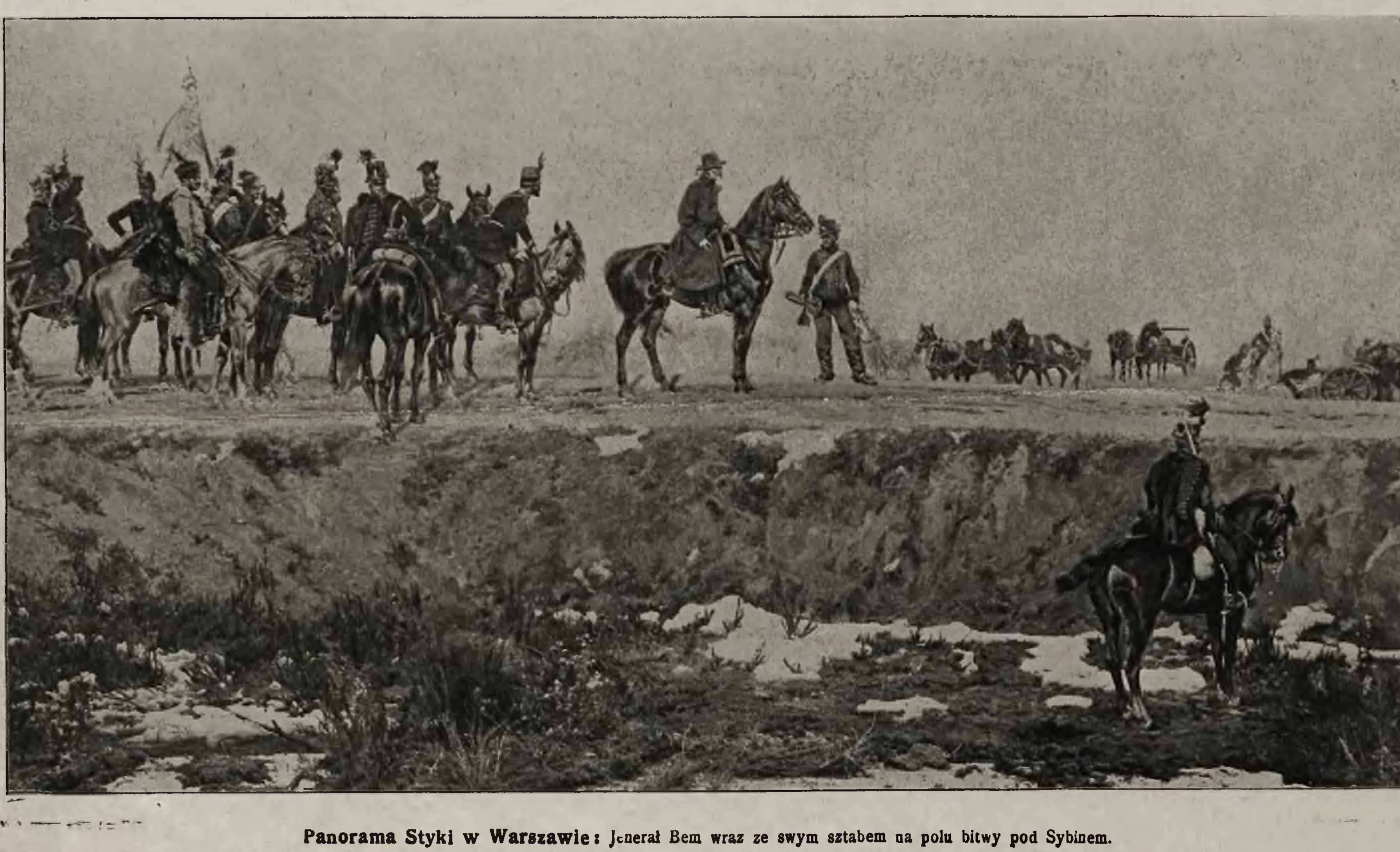
I martwi niech przemówią i milcząca ziemia niech wyda głos, niech opowie o życiu, jakie przed tysiącami lat toczyło się na jej powierzchni, a dziś skrywa się w jej wnętrzu. Wydobyć na światło dzienne wszystkie pomniki ducha ludzkiego, jakie czas pokrył pyłem wieków i skrył z przed oczu pokoleń potomnych, zapukać do skruszałych już serc praojców naszych, by ożyli i dali świadectwo o wielkości własnej — oto wezwanie, z jakiem zwraca się archeologia do starożytności. I ożywia się zamarły świat podziemny i przemawia do nas, lecz językiem, znanym tylko wybrańcom. Oni ryją w głębinach ziemi, wsłuchują się w jej poszepty i wyrwane tajemnice głoszą następnie światu całemu. Tą piękną nauką, która niezmierne skarby minionych stuleci dzisiejszemu światu ofiarowuje, jest archeologia. Niesłychanie żmudna to nauka, bo wiele lat skrzętnej pracy wymaga, zanim mały szczegół przeszłości na jaw dobędzie. Lecz najmniejszy nawet z nich jest wielkim dla nas pomnikiem starożytności. Głównymi terenami wykopalisk archeologicznych były przeważnie Włochy i Grecya. Potem zwrócono się do Egiptu, którego Faraonowie głoszą nam obecnie swą wielkość, a w ostatnich dopiero czasach zwrócono się do kolebki rodu ludzkiego, do Azyi. Stamtąd dowiadujemy się, jakim był ród ludzki, zanim się rozpłynął po całej kuli ziemskiej.

Niezmiernie doniosłego wykopaliska dokonali amerykańscy archeologowie na wyspie Jawie, znanej już przed dwoma tysiącami lat, jako wyspa „Jęczmienna“. Obecna ludność tubylcza wyznaje w głównej mierze mahometanizm, choć rozwija się już tam i religia chrześciańska. Przed wiekami jednak wyznaniem panującem był buddaizm, który przeszedł na Jawę z sąsiednich Indyj.

Cechą wyznawców buddaizmu jest niezwykła pobożność, objawiająca się w nader licznych i niezmiernie wielkich świątyniach. Jedna z największych właśnie świątyń znajdowała się na wyspie Jawie, lecz od kilku wieków tak doszczętnie była zasypana ziemią, iż tylko znaczne wzgórze świad-



Odkopana świątynia: Ruiny buddyjskiej świątyni »Bourouboudour« na wyspie Jawie



Panorama Styki w Warszawie: Jenerał Bem wraz ze swym sztabem na polu bitwy pod Sybinem.

czyło o miejscu, na którem pierwotnie się znajdowała. Krajowcy bowiem uważali, iż sławna ta świątynia, zwana „Bourouboudour“, pomimo swej wielkości, runęła w gruzy jeszcze za czasów Arabów, gdy oni zaszczepiali islam. Archeologowie jednak



Skon zasłużonego pedagoga: Śp. dr. Teofil Gerstman.

amerykańscy twierdzili wręcz co innego i postanowili tego dowieść. Już w roku 1870 rozpoczęły się wykopaliska, które dopiero teraz ukończono, trwały więc one przeszło 36 lat. Wyniki jednak pracy szczodrze wynagrodziły trud położony. Istotnie odkopano świątynię o niezmiernych rozmiarach, wysoką na sześć pięter. Ogromem swym przewyższa ona wszystkie obecne świątynie. Przedstawia się jakby całe miasto świątyń, z wnętrza których poczną archeologowie dopiero teraz wydobywać całe skarby dla nauki.

Panorama Styki w Warszawie.

Wspaniała panorama Jana Styki, przedstawiająca pamiętną bitwę pod Sybinem w Siedmiogrodzie, bitwę, w której nieśmiertelną chwałą okrył się wielki wódz polski, jenerał Bem, zostanie tymi dniami wystawioną w Warszawie na widok publiczny, przy ulicy Karowej staraniem p. G. Ungra.

Mieścić się ona będzie w osobnym budynku, zbudowanym na pomieszczenie poprzedniej panoramy Styki. Budynek jest urządzony z komfortem, znakomicie oświetlony i nadaje się wybornie do tego rodzaju celów.

Panorama ta wystawioną już była kilkakrotnie w wielkich miastach, między innemi w stolicy Węgier Budapeszcie, gdzie zdobyła sobie ogromne powodzenie.

Twórcami panoramy są artyści malarze pp. Jan Styka, Rozwadowski, Wywiórski, dalej Nágo i Spányi. Artyści ci przez szereg miesięcy pracowali nad nią we Lwowie, tam bowiem mieszkał podówczas Styka i tam była jego pracownia.

Panorama, przedstawiająca bitwę pod Sybinem, obfituje w cały szereg scen niesłychanie interesujących, wiążących całą uwagę widza a przedstawiających nad wyraz plastycznie kilka momentów zaciętej walki. Bardzo piękny jest n. p. fragment. przedstawiający jenerała Bema ze swoim sztabem na gościńcu, wiodącym do Sybinu. Wielki wódz siedzi na wspaniałej klaczy angielskiej, ubranej w rząd węgierskiego jenerała; jen. Bem w starym płaszczu honwedzkim, z historyczną szpicrutą w ręku, bez broni, patrzy z wytężoną uwagą na pole walki. Obok jen. Bema stanął trębacz, oczekujący rozkazów a za nim, na siwku, pochylony całym korpusem naprzód, szef sztabu jeneralnego, w randze pułkownika. A dalej cały sztab, otoczony eskortą huzarów, lśni bogactwem, mieni się różnobarwnością mundurów, gdyż Bem, choć sam nosił się skromnie, lubił by otoczenie jego było okazałe. Blasku i okazałości prócz bogatych, kapiących od ozdób złotych i srebrnych mundurów, dodaje orszakowi sztandar o narodowych barwach węgierskich, z wizerunkiem Bogarodzicy. Za oficerami świty jeneralskiej stanęli ordynansi różnej broni, wśród których widnieje i ułan polski.

Wspaniałym jest również przejmujący grozą widok zaciekłej walki na moście, zdobywanym przez Szeklerów. W głębi widnieją mury miasta, oblane blaskiem zachodzącego słońca. Tuż obok wre straszny bój. Starły się ze sobą wrogie zastępy pierś



Niezwykła siła zębów: Atleta Auto-Atlas, dźwigający w zębach samochód z dwiema osobami.

o pierś i walczą z zajadłością na ciasnej przestrzeni mostu. Zaciekłości węgierskich szeklerów nie mogą się oprzeć szeregi rosyjskiego wojska pod jenerałem Skarjatinem, które przybyło z pomocą wojskom austryackim. Cofają się więc w pośpiechu ku murom miasta. Spłynęła krwią przelaną mała



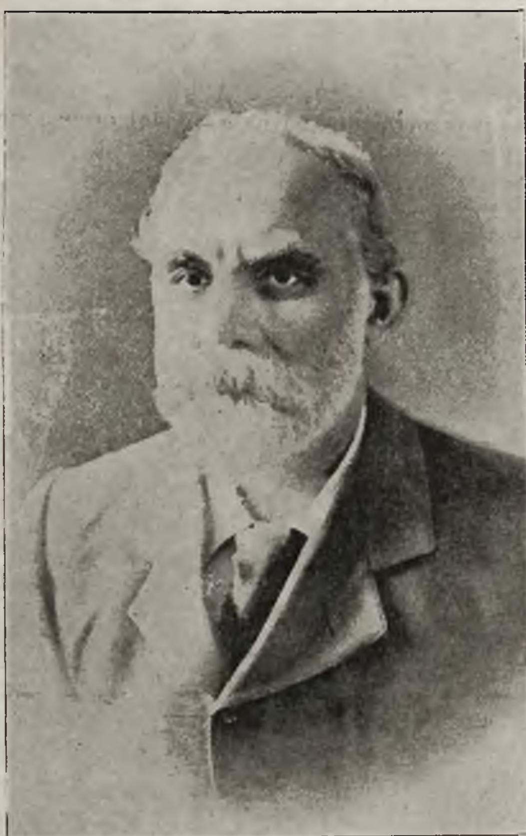
Panorama Styki w Warszawie: Zacięta walka na moście.

rzeczułka, przedzielająca w tem miejscu pole walki, spłynęła krwią żołnierzy obu stron.

Całość panoramy robi ogromne wrażenie, głównie z powodu akcyi pełnej życia i ruchu, z powodu plastyczności i wyrazistości.

Skon zasłużonego pedagoga.

W ubiegłym tygodniu zmarł nagle we Lwowie jeden z najwybitniejszych i najbardziej zasłużonych pedagogów tamtejszych, dr. Teofil Gerstman, były wieloletni dyrektor I. szkoły realnej.



Robotnik ministrem: John Burns, angielski minister spraw robotniczych.

Urodzony 1842 r. w Grabie koło Jasła, ukończył szkoły we Lwowie i na tamtejszym uniwersytecie zdobył tytuł doktora filozofii. Wnet potem poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu; obowiązki pełnił aż do roku ubiegłego, w którym przeszedł na emeryturę. Po za działalnością pedagogiczną, którą pełnił kolejno we Lwowie, w Nowym Sączu i znowu we Lwowie, naprzód w gimnazyum niemieckiem, a następnie od 1889 r. jako dyrektor szkoły realnej, brał żywy udział w życiu publicznem i literackiem. Od pierwszych chwil założenia tow. pedagogicznego był członkiem zarządu głównego, należał też przez długi szereg lat do rady miasta Lwowa, gdzie w sekcyi szkolnej bardzo wybitną grał rolę i był jej delegatem do rady szkolnej krajowej. Pamiętne są dalej jego zasługi około zorganizowania kolonij wakacyjnych wspólnie z drem Józefem Żulińskim. Młodzież szkolną otaczał zawsze ciepłą, serdeczną miłością i wychowywał ją w duchu religijnym i narodowym.

Usunąwszy się w ostatnich czasach od udziału w życiu publicznem, poświęcił się w zupełności pracom literackim. Wśród tych pierwsze miejsce zajmują barwne, interesujące opisy podróży, których odbył w życiu bardzo wiele; ostatnio pracował nad zebraniem swych rozproszonych po dziennikach i pismach peryodycznych prac literackich w jedno dzieło, bezlitosna śmierć jednak nie pozwoliła mu na dokończenie podjętego zadania.

Skon ś. p. dr. Gerstmana wywołał w całem mieście niekłamany i szczery żal.

Cześć jego pamięci!

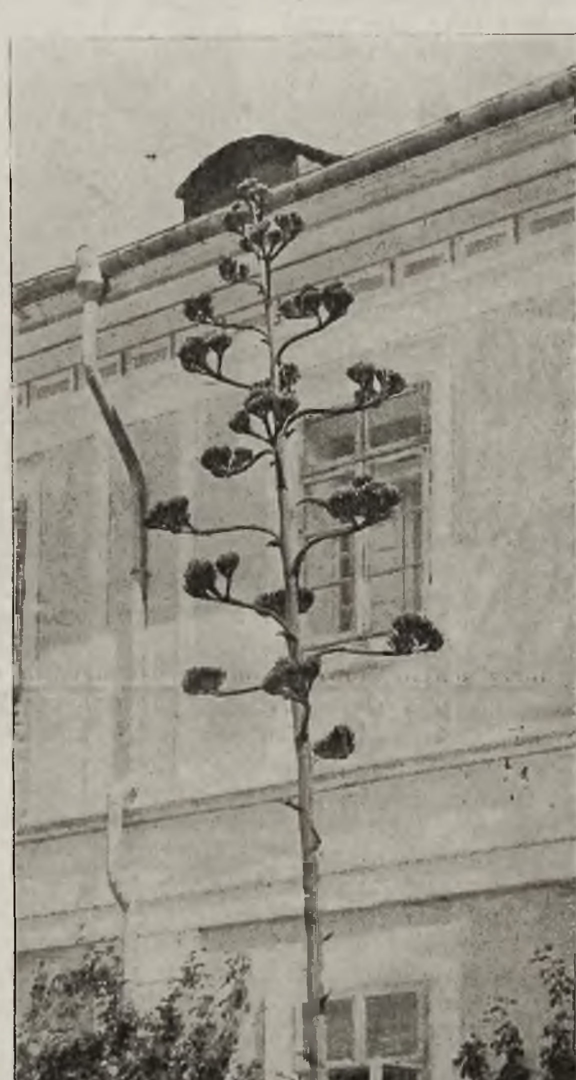
Rzadki okaz kwiatu.

Znaną jest powszechnie legenda, iż roślina agawa kwitnie tylko raz na sto lat, a przy zakwitaniu wydaje huk bardzo donośny, podobny do strzału armatniego. Agawa należy do rodziny amarylkowatych i rośnie przeważnie w Ameryce. Jest to roślina trwała, o liściach mięsistych, osadzonych na łodydze krótkiej i tworzących rozetę, z których wystrzela w górę szypułka kwiatowa. U nas widzieć można agawę po parkach i ogrodach staranniej utrzymywanych.

O ile wogóle roślinę tę rzadko tylko można u nas widzieć, to już prawdziwie wyjątkową jest rzeczą zakwitnięcie jej. Możliwe to jest chyba w ogrodach, których założenie bardzo dawnych sięga czasów. Zdarzył się właśnie taki wyjątkowy wypadek zakwitnięcia agawy w ogrodach hr. Krasickiego w Stratynie. Ogrody te nietylko są bardzo piękne i z nadzwyczajną starannością utrzymywane, nietylko są bardzo dawne, ale mają i historyczną przeszłość. Założone bowiem zostały wedle wskazówek księcia biskupa warmińskiego Ignacego Krasickiego, wielkiego i znanego miłośnika ogrodów. Po dziś dzień znajduje się tam starożytna cieplarnia, wedle jego planów zbudowana.

W tym to historycznym, pamiątkowym ogrodzie w Stratynie, zakwitła w tym roku po raz pierwszy agawa, rosnąca tam blisko od stu lat. Kwiat jej jest wyjątkowo piękny i wielki, kiście kwiatu dochodzą do 75 cm. Są one dzwonkowate i tworzą na szypułce kształt kandelabra.

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze zdjęcie fotograficzne tego rzadkiego okazu, nadesłane nam uprzejmie przez hr. Augusta Krasickiego.



Rzadki okaz kwiatu: Agawa, która w tym roku w Stratynie zakwitła.

Robotnik ministrem.

Półtora roku temu cały świat polityczny i dyplomatyczny był nadzwyczaj zdziwiony. W arystokratycznej Anglii stał się fakt niezwykły. W szeregach ministrów znalazł się prosty robotnik. Gdy po ustąpieniu konserwatywnego ministra Balfoura, rządy objął liberalny gabinet Campbell-Bannermana, tekę ministra spraw robotniczych powierzono Johnowi Burnsowi. Do niedawna prosty robotnik, nieraz przymierający z głodu wraz z rodziną, doszedł do steru władzy, od której poprzednio sam cierpiał. Wszyscy ciekawie śledzili czynności nowego ministra, badali jego zachowanie się na tak wy-



Nowa wyprawa do bieguna północnego: Eimar Mikkelsen.

sokiem i odpowiedzialnem stanowisku. Powołanie robotnika na fotel ministeryalny uważano za eksperyment, który premier może przypłacić upadkiem swego gabinetu. Obawy jednak zawiodły, a rząd angielski znalazł niepoślednią siłę w swym nowym ministrze.

John Burns, urodzony w Londynie w 1858 roku, pracował jako pomocniczy robotnik w fabrykach aż do r. 1879. Wtedy zapoznał się z pewnym robotnikiem francuskim, który pozyskał go dla idei socyaldemokratycznej. Od tej chwili przyszły minister, pracujący tylko fizycznie, zabrał się do nauki, począł kształcić się, zwłaszcza w dziedzinie nauk ekonomicznych. W krótce potem Burns wyjechał do Afryki na zarobek, gdzie mu się dobrze powodziło, bo za uzbierane oszczędności wrócił do kraju i odbył sześciomiesięczną podróż po Europie. Rozpoczętego jednak kształcenia się nie przerywał, lecz ciągle uzupełniał je, tak iż wkrótce zajaśniał w szeregach robotniczych jako najświatlejszy towarzysz i jeden z najlepszych mowców. Wkrótce też uznany został za przywódcę socyalistów angielskich. Zdobywając uznanie mas robotniczych, niezwykłemi zdolnościami organizatorskiemi, wielkiem wykształceniem ekonomicznem i prawością charakteru, zwrócił na siebie uwagę sfer rządzących. Wybrany do parlamentu angielskiego, zamienił po niejakim czasie krzesło poselskie na fotel ministeryalny.

Pomimo tak wysokiej godności, nie zapomniał o tem, iż jest przedewszystkiem robotnikiem i nie porzucił swych skromnych zwyczajów. Przy składaniu przysięgi przed królem, ubrany był w czarny tużurek. Obecnie dla zbadania stosunków socyalnych przybył do Niemiec, gdzie go witają z wielką uprzejmością. Na cześć jego miasto Berlin i minister Bethman-Hollweg wydali bankiety. Towarzystwo berlińskie spodziewało się ujrzeć nieśmiałego, niezgrabnego robotnika, tymczasem minister angielski zadziwił wszystkich swem eleganckiem ułożeniem towarzyskiem, wykształceniem i humorem, a przedewszystkiem nieposzlakowanej białości gorsem i zgrabnym frakiem. John Burns uważa, iż w Londynie jest robotnikiem-ministrem, w Berlinie zaś ministrem angielskim, przedstawicielem rządu Anglii.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

12 Ciąg dalszy.

Chciałam dać panu to szczęście, o którem marzyłam niegdyś dla siebie. Wiedziałam już wtedy o wielu rzeczach, łatwo mi więc było zedrzeć zasłonę z tajemnicy, pod którą kryła się prawda. Byłam wtedy przy hr. Senneterre i nikt się dziecka nie obawiał ani potrzebował strzedz. Aż jednego dnia owocem moich ciągłych obserwacyj i badań było odkrycie strasznego dramatu, który rozegrał się w Toulouse, a którego ofiarą był hr. Bernard Torella.

Jerzy uchwycił ręce młodej dziewczyny i ściskał je aż do bólu.

— O! nie oszukuj mnie pani — zawołał stłumionym głosem. — Życie moje trzymasz w swoich rękach i jeżeli prawdą jest, że mnie nie zwodzisz, że posiadasz dowody, których szukam...

— Cóż byś uczynił? — zapytała młoda kobieta prostując się nagle.

Jerzy nie panował już nad sobą, nieobliczalnym ruchem gwałtownie przyciągnął Leę do siebie i trzymał ją długą chwilę w swoich ramionach.

— Ah! żądaj odemnie wszystkiego, co chcesz. Krew swoją, życie ci oddam — zawołał prawie nieprzytomny. — Nie opłacę nigdy za drogo przysługi, którą mi pani oddasz i zachowam na zawsze nieskończoną wdzięczność dla ciebie i przywiązanie głębokie!

Mówiąc to, ściskał gwałtownie drobne rączki Lei i przyciskał je do ust rozpalonych. Młoda kobieta nie usiłowała uwolnić się od tego szalonego uścisku. Zwiesiła głowę na jego piersi i patrzała na niego wzrokiem pełnym oddania i rozkoszy. Jerzy jednakże po chwili oprzytomniał. Zawstydził się, że zdołał do tego stopnia zapomnieć się i ruchem powolnym przesunął ręką po czole, jak gdyby chciał uwolnić się od niebezpiecznego uroku.

— Przebacz mi pani! przebacz — wyszeptał — i zapomnij! To już przeszło! To, co mi pani powiedziała — zaczął po chwili głosem cichym — jest rzeczą dla mnie bardzo ważną... Teraz dopiero pojąłem cel pani i powód zainteresowania się mną i czuję się zawstydzony, że nie odgadłem go pierwej. Pani się nazywa Lea, nieprawdaż — zapytał Jerzy z uśmiechem. — I mieszka pani przy hr. Senneterre? Otóż od dwóch lat w domu hrabiego przebywa młoda dziewczyna, dla której czuje pani serdeczne przywiązanie...

— Helena — szepnęła Lea.

— A więc... tylko niech się pani nie stara zaprzeczyć, bo już wszystko zrozumiałem. Helena jest istotą wrażliwą i delikatną — Helena kocha! Pani odkryła jej tajemnicę i w dobroci swej niezwykłej dla niej przyszłaś do mnie.

— Ja? — zawołała Lea.

— Dlaczego pani chce to ukryć?

Jerzy serdecznym ruchem ujął dłoń kobiety.

— Niech się pani nie wypiera czynu, który zjednać jej może tylko najwyższą moją wdzięczność i szacunek... Pani wie o miłości Heleny, lecz nie zna pani mojego dla niej przywiązania!... Spotkałem ją w chwili, gdy byłem bardzo nieszczęśliwy! Drogie dziecko! Pokochaliśmy się od pierwszego spotkania, a teraz czuję, że miłość ta z życiem mojem zakończyć się tylko może. Dzielą nas jednak poważne przeszkody... Przedewszystkiem cały poświęciłem się obecnie mojej misyi... Próba będzie długa i ciężka... Pani odczuła cierpienie swojej przyjaciółki i przyszłaś do mnie, by...

Lea wybuchnęła nienaturalnym nerwowym śmiechem, który zastanowił Jerzego.

— Zapewne nie mam powodu ukrywać dłużej — rzekła powstając i uwalniając dłoń swoją z rąk młodego człowieka. — Przenikliwość pana jest nadzwyczajna, napróżnobym się starała ukryć cel, który mnie tej nocy sprowadził do pana. Ma pan zupełną słuszność, panie hrabio, chcę być z panem szczerą. Helena jest czarującem dzieckiem, nie podobna jej nie kochać! Widziałam ją bardzo cierpiącą z braku wiadomości o panu, gdy ją jutro ujrzę, będę ją mogła choć w części uspokoić, nieprawdaż?

— Pani już odchodzi? — zapytał Jerzy zdziwiony nagłą zmianą w obejściu młodej kobiety.

— Muszę — odpowiedziała.

— Ale ja panią jeszcze zobaczę tutaj?

— Tutaj czy gdzieindziej, to rzecz obojętna... Jednakże postawię jeden warunek...

— Ah! zgadzam się na niego bez oporu. Niech pani mówi...

Młoda kobieta uśmiechnęła się lekko.

— Musi pan mi ufać bezgranicznie, bo i ja chcę panu ufać. Jeżeli tu kiedy wrócę to wymagać będę, aby nikt naszej rozmowy nie był świadkiem.

Jerzy zdziwiony patrzał na młodą kobietę.

— Ktoś tu był przed chwilą, — rzekła wskazując palcem na podłogę... — są to ślady stóp ludzkich, lecz nie są to ślady pana, a tem mniej moje.

Jerzy milczał zmięszany.

— Oh! niech się pan uspokoi! to drobnostka! ostrzegam jednak pana, strzeż się ludzi, którzy cię otaczają.. Nie daj się zastąpić w sprawie tak ważnej i trudnej do przeprowadzenia przez obce osoby... Ja zaś chcę się stać panu użyteczną, ale pod warunkiem, że nikogo więcej nie przyjmiesz do tajemnicy.

I zanim Jerzy mógł przyjść do słowa, pożegnała go wdzięcznym ruchem i skierowała się do wyjścia. Na progu zatrzymała się i zwróciła się do młodego człowieka z jej tylko właściwym drwiącym uśmiechem.

— Nie miej pan do mnie żalu — rzekła — i proszę zapewnić odemnie czcigodnego pana Rigola o mojej prawdziwej przyjaźni.

Jerzy pozostał na środku pokoju osłupiały, niezdolny słowa przemówić. Była chwila, że chciał biedz za Leą i zatrzymać ją przemocą. Wstrzymał go szelest, który usłyszał poza sobą; był to Rigolo, który wyszedł z gabinetu drżący z niecierpliwości i ciekawości.

— No i cóż? — szepnął Jerzy nagle, jeszcze pod wrażeniem ostatnich słów Lei.

— No i cóż? — powtórzył Rigolo marszcząc brwi groźnie.

— Szczególna kobieta!

— I to ma zaledwie lat ośmnaście, a mądra jak stary minister. Zdaje mi się, że ta kobietka jest albo najlepszą istotą pod słońcem, albo też najzuchwalszą łajdaczką z całego Paryża. Oto co myślę.

Jerzy schylił głowę... i on nie był dalekim od przypuszczeń Rigola. Zapanowało milczenie. Rigolo jednak nie należał do ludzi, którzy się byle czemu dziwią. Jednym susem był przy oknie.

— Co pan robisz? — zawołał Jerzy.

— Oh! nic! nic! zapewniam pana! Księżyc cudownie świeci, a przyznam się panu, że nie gniewałbym się wcale, gdybym zobaczył jaką drogę obrała ta dzierlatka. — Mówiąc to odchylił firankę i wychylił się.

— No i cóżeś tam pan zobaczył?

— Ej! nic nie widzę do wszystkich diabłów!

— Przecież nie pozostała w tym domu?

— Naturalnie, ale pan zapomina, że dom ten posiada dwa wyjścia. Jedno z nich tajemne, używane tylko w rzadkich okolicznościach.

— Jesteś pan pewny tego?

— Bardzo pewny, panie hrabio, bo się o tem sam przekonałem. Z przyjemnością jednak za pańskiem pozwoleniem uczyniłbym drobiazgowe zbadanie domu, a może i pan zechce mi towarzyszyć?

— Czy to konieczne?

— Może niekonieczne, ale w każdym razie interesujące.

Zanim jednak opuścili pokój, Rigolo wyciągnął z kieszeni rewolwer nabity, obejrzał go dokładnie i podał Jerzemu.

— Sądzi pan, że zostaniemy napadnięci?

— Trzeba być zawsze na wszystko przygotowanym. No chodźmy.

Rigolo poszedł ku drzwiom, podczas gdy Jerzy gasił świecę, poczem przeszli schody, które prowadziły na korytarz długi, wychodzący na ulicę Bourbon. Dziedziniec był pusty; w głębi tylko wznosiły się zabudowania i stajnie opuszczone. Cisza tu panowała zupełna. Rigolo szedł przodem. Nagle, gdy już mieli mijać zabudowania dziedzińca, Rigolo błyskawicznym ruchem wydobył rewolwer i odwiódł kurek.

— Co tam jest? — zapytał Jerzy.

Rigolo ręką wskazał na róg stajni, pogrążony w zupełnej ciemności.

— Tam! — szepnął nachylając się, by lepiej dojrzeć — coś się rusza!

— Pewnie kot z sąsiedztwa.

— Oh! znam dobrze tych kotów i tego... no zresztą zobaczymy...

I jednym skokiem znalazł się przy rogu stajni.

W tej samej chwili rozległy się dwa okrzyki: Jeden okrzyk rzucił Rigolo — drugi człowiek, którego tenże trzymał za kołnierz surduta i potrząsał silnie.

— Czego chcecie odemnie? Kto jesteś? — mruczał pochwycony usiłując napróżno uwolnić się z rąk ajenta.

Ale Rigolo był silny. Gwałtownem szarpnięciem wyprowadził nieznajomego z cienia na pełne światło. Jerzy z rewolwerem w dłoni czekał gotów w każdej chwili przyjść z pomocą swojemu towarzyszowi. Rigolo, ujrzawszy twarz ciągnącego za sobą człowieka, cofnął się zdumiony ze stłumionym okrzykiem.

— Ależ ten człowiek! ten nędznik... to Karpol! Pomocnik Jakóba Mayot, kata. Widziałem go przez kilka minut w nocy w „Samotnym domu“, ale, zdaje mi się, że go jeszcze za lat dwadzieścia potrafię poznać.

— I ja go również poznaję – dodał Jerzy, przyglądając się Karpolowi z zajęciem. — Widziałem go przed kilkoma dniami po raz pierwszy. Nie wiedziałem, że jest w usługach Jakóba Mayot, a właściwie Romy i to mnie szczególnie zastanawia. Ale teraz nie będziemy o tem dłużej mówić.

Karpol stał osłupiały i zawstydzony, że się dał pochwycić; gęste jego włosy, zbite w ciemną masę, roznosiły się w nieładzie nad czołem, a pokorna postawa, którą przybrał, uwydatniała jeszcze bardziej jego ułomność. Był wstrętny; po przez chmurę ciemnych włosów błyszczały fosforycznym blaskiem jego żółte oczy — podobne do oczu tygrysa.

— No, powiedz przyjacielu – zapytał Rigolo — co tu robiłeś i na kogo czatowałeś? Nie chcesz mówić — rzekł potrząsając nim silnie — przecież wiem, że nie z własnej woli przyszedłeś tutaj. Któż ci kazał krążyć koło tego domu? No, odpowiadaj ty przeklęty dziwolągu!

Karpol schylił głowę i milczał. Rigolo spostrzegł, że gwałtownością nic nie uzyska...

— Zresztą, co mi na tem zależy — rzekł obojętnie. — Wiem, że on jest w służbie Romy... a ta śledzi pana. To ona posłała tu tego nędznika. Od miesiąca brniemy ciągle w tajemnicy i zaledwie po wielu trudach zdołaliśmy pochwycić pewne poszlaki. Czy to Lea, czy Roma posiada w rękach swoich odkrycie tajemnicy, tego dotąd nie wiemy. A jednak — dodał Rigolo przyciskając palcami skronie — czuję, że dochodzimy do celu. O! ta Roma! za jakim ona celem goni? Przecież nie dla Jakóba Mayot kompromituje się w ten sposób. Tem mniej dla Lei... A więc dla kogo?

Nastała chwila przygnębiającego milczenia.

— Oh! oh! — szepnął Rigolo podniecony jakąś myślą — Zdaje mi się, że zrobiłem odkrycie! To jest możliwe. Panie hrabio — rzekł zwracając się do Jerzego, który go obserwował w milczeniu — pan zna żonę Jakóba Mayot, nieprawdaż? Mówią, że jest Włoszką i że miała być podobno bardzo piękna.

— Jest nią jeszcze.

— Tak... nie byłoby w tem nic nienaturalnego, gdyby ona kochała jakiegoś mężczyznę... Co pan chce, ma lat czterdzieści zaledwie. Dla kobiety to czas prawdziwej namiętnej miłości. Kobieta kocha wtedy ostatuim gorącym płomieniem dogasającego serca i jest zdolna do ostatecznego poświęcenia się.

— A więc pan przypuszcza...—rzekł Jerzy z niedowierzaniem.

— Zdaje mi się, że w życiu Romy jest jakaś tajemnicza miłość, a ten wstrętny Karpol gra tu rolę, której doniosłości sam może nie rozumie.

Rigolo z uśmiechem zwrócił się do karła, lecz uśmiech ten zamarł mu na ustach, gdy spotkał się z jego spojrzeniem. Karpol w tej chwili wyglądał strasznie. Postać jego skurczyła się jak do skoku, okropny skurcz wykrzywił jego zmysłowe grube wargi, głęboka zmarszczka przecinała niskie czoło, a oczy jasne, prawie przezroczyste uporczywie wlepione były w twarz ajenta.

— No, cóż to? cóż to? — zawołał Rigolo nadrabiając miną. — Czego to bydle chce odemnie? Czy może mimowoli dotknąłem jakiej czułej struny? Oho! trzeba będzie to zbadać! Ale jak na teraz wiemy dosyć... A teraz pożegnam pana. Zobaczymy się wkrótce. Jutro pomówię z Buvardem! Zobaczymy co z tego wyniknie?

Weszli do domu, przeszli przez główne wejście i wyszli na ulicę.

— Zostawiamy tu Karpola na pastwę ciężkich rozmyślań — zażartował Jerzy.

— Nie ma nic lepszego do czynienia na razie — odpowiedział Rigolo. — Noc przynosi czasami dobre rady.

Karpol jednak nie opuszczał miejsca, w którem go zostawił Rigolo. Oparty o ścianę stajni z zwieszającemi się bezwładnie rękami, z wzrokiem utkwionym w ziemię, zdawał się zastanawiać. Był sino-blady; zimny pot wystąpił mu na skronie.

Upłynęło tak kilkanaście minut; z piersi Karpola wyrywały się raz po raz dzikie pomruki i westchnienia.

Nareszcie dzikim ruchem potrząsnął głową, niespokojnym wzrokiem powiódł dokoła i przekonawszy się, że jest sam, zaczołgał się do drzwi stajni i znikł wewnątrz. Panowała tam ciemność zupełna, ale karzeł krokiem pewnym przeszedł przez stajnię, wyszedł drugiemi wrotami i dostał się do muru, który oddzielał willę od domu, wychodzącego na ulicę Świętego Ludwika. Znalazłszy się pod murem, rękami wykrzywionemi i lepkiemi uchwycił kamień ogromnych rozmiarów, odchylił go i przecisnął się przez otwór, który sobie w ten sposób przygotował. Kamień na swojem miejscu położył i oddalił się. Pomiędzy murem a domem znajdował się mały ogródek. W ogródku tym wznosił się skromny budynek, który niegdyś służyć musiał za piekarnię. Tu było mieszkanie Karpola. Miał tam dwa pokoiki. Każdego wchodzącego do tego mieszkania musiałby uderzyć jego szczególny widok. Pod ścianą stały oparte dwa krzesełka bez nóg, stół, a w jednym kącie warstat ciesielski. Karpol był niegdyś robotnikiem — dziwnym i tajemniczym robotnikiem! Dekret z roku 18.. dotknął Karpola więcej, niż jego chlebodawców. Karzeł uczuł w sobie dziwne zamiłowanie do tego zajęcia, za którem poszedł, nie zdając sobie jasno sprawy dlaczego, a które stopniowo zawładnęło całą jego istotą i umysłem. Karpol ukochał swoje szubienice, jak niegdyś Quasimodo swoje dzwony. Od dnia dekretu dręczyć go zaczął ukryty smutek i melancholia. Życie jego było złamane na zawsze! Była chwila, w której sam sądził, że nie przeżyje tego czasu!

Jakób Mayot, który się do niego przywiązał, bo karzeł był zręcznym i posłusznym na każde skinienie pomocnikiem, chciał mu wynaleść inne zajęcie. Ale przy pierwszych projektach na ten temat, Karpol w strasznym ataku nerwów rzucił się do nóg Romy, błagając ją, by go pozostawiła przy sobie, choćby jako służącego, gdyż przyszłość dla niego zamarła wraz z ukończeniem jego poprzednich obowiązków. Roma dała się wzruszyć i pozwoliła mu pozostać. Żona kata zapewne odgadła tajemny powód rozpaczy karła, gdy mówiono o rozłączeniu się z nim i zatrzymała go przy sobie, dla swych egoistycznych celów. Karpol nie przeczuł tego! Miał zostać przy Jakóbie Mayot i żyć przy boku Romy i niekiedy choć z nimi mógł pomówić o ukochanym swoim zawodzie. Wystarczało mu to w zupełności. Ciężkie zmartwienie, wywołane ukazaniem się dekretu, nie ustąpiło jednak zupełnie. Często bardzo Jakób Mayot zastawał go pogrążonego w bolesnem zamyśleniu o minionej przeszłości z twarzą skurczoną i oczami błyszczącemi złowrogo.

. . . .

Karzeł przeszedł do drugiego pokoju i osunął się wyczerpany na krzesło. Chwilę siedział bez słowa, wsunąwszy kościste swe i długie palce w zbitą masę ciemnych włosów, poruszając machinalnie grubemi wargami z twarzą bladą i skurczoną. Od czasu do czasu wstrząsał nim dreszcz dziki; pierś podnosiła się wysoko, jakby pęknąć miała, krew napłynęła gorącym prądem do twarzy, a żyły nabrzmiewały na skroniach. Wtedy paznokcie jego wbijały się konwulsyjnie w stół i dziki pomruk wybiegał z zaciśniętego gardła. I nagle znowu trupia bladość pokrywała jego rysy, kilka kropel piany ściekało z kątów ust wykrzywionych, a ręce opadały bezwładnie wzdłuż ciała.

— To jest możliwe... — szepnął nareszcie z wysiłkiem — to jest możliwe... Dlaczego nie! Ah! toby była śmierć dla mnie!

Umilkł i po kilku sekundach, jak zwierz ugodzony w serce, zerwał się i zaczął wściekle przebiegać pokoik, trzymając się ręką za szyję...

— Duszę się! duszę się! — harczał. — Cóż to? Czy to już śmierć? Ale ja chcę żyć! chcę jeszcze, tak, chcę...

Słowa zamarły mu w gardle, zachwiał się, okręcił kilkakrotnie w koło i runął na ziemię. Zemdlał. Nie dowiedział się nigdy jak długo przebył w tym stanie. Gdy oczy otworzył, znajdował się ubrany na łóżku w pierwszym pokoju. Lampa stała przy nim i po przez mgłę, która mu oczy jeszcze zasłaniała, dostrzegł sylwetkę smukłą, widmo może, które stało o kilka kroków milczące, bez ruchu. Chciał się podnieść. Widmo ruchem łagodnym pochyliło się nad nim. I wtedy dopiero poznał, kto to był.

— To pani! pani! — zawołał z wybuchem radości. Była to Roma.

— Nie ruszaj się — rzekła pieszczotliwym głosem. — Znalazłam cię przed chwilą bez czucia na ziemi i umieściłam na łóżku. Powiesz mi za chwilę, co to było, ale teraz nie mów jeszcze... wróć całkiem do sił. Jestem przy tobie, nie lękaj się niczego.



Znalazłszy się pod murem, rękami powykrzywianemi i lepkiemi uchwycił kamień ogromnych rozmiarów.

Karpol był posłusznym. Błędnym wzrokiem wodził wokoło, jak gdyby chcąc rozpoznać, gdzie się znajduje, nie rozumiejąc, jeszcze dlaczego znajduje się na łóżku i co robi przy nim żona Jakóba Mayot. Stan ten trwał jeszcze chwilę. Pomału jednakże wracało mu uczucie rzeczywistości. Otaczające go przedmioty nabrały wyraźnych kształtów, zrozumiał, że nie był pod wrażeniem snu; to naprawdę była Roma.

— Pani, pani tutaj — rzekł głosem już silniejszym. — Co to się stało? Nie mogę sobie nic przypomnieć.

— Postaraj się o to — odpowiedziała Roma. — Zbierz siły. Kazałam ci czuwać nad tą willą. Opuściłeś mnie, by zająć swój posterunek obserwacyjny, widząc, że nie wracasz i niespokojna o zakończenie sprawy, przybiegłam tutaj i zastałam cię zemdlonego.

Podczas gdy Roma mówiła, Karpol wyprostował się z wysiłkiem, usiadł i głowę objął rękami. Słuchał głosu Romy i pod tym wpływem powracała mu zupełna świadomość ubiegłych wypadków. Nagle dziki okrzyk wybiegł mu z piersi; oczy jego, szeroko otwarte, uporczywie i przenikliwie utonęły w twarzy Romy.

— Co ci jest? — zapytała z lękiem.— Wyglądasz okropnie.

— Przypominam sobie — szepnął karzeł.

— Jerzy...

— On i drugi...

— Ajent? Co robili?

— Nie wiem, ale to, co sobie przypominam, jest straszne! Mówili o pani!

— Ale co? odpowiadaj nareszcie!

Karpol namiętnym ruchem uchwycił dłonie Romy i przyciągnął je do siebie.

— Ale to nieprawda — rzekł głucho potrząsając swoją ogromną głową. — Oni skłamali! Oh!... była chwila, w której chciałem ich pozbawić życia!...

Roma nic nie rozumiała; sądziła, że nieszczęśliwy karzeł uległ pomieszaniu zmysłów.

— No! uspokój się i wytłómacz mi, co to jest — szepnęła walcząc z ogarniającym ją lękiem.

Karpol bezsilny opadł na poduszki.

— Nie, nie! — szepnął — przebacz mi, tracę rozum! Ale gdybyś pani wiedziała, co oni mówili. Mój Boże, gdyby to jednak było prawdą i gdybym ja musiał żyć z tą okropną myślą...

Roma milczała, lekki uśmiech pojawił się na jej ustach, zaczynała pojmować. Karpol mówił dalej:

— Ja wiem dobrze, kim jestem i niczego nigdy nie wymagałem od życia, ponad to, co ono dać mi może. Jestem wstrętnym kaleką i budzę tylko wstręt i pogardę! Pani jedna okazałaś mi litość i jestem psem twoim wiernym i pokornym. Ale litość twoja pani okrutną jest dla mnie. Żyłaś samotna, często smutna i przygnębiona! W życiu twojem są jakieś ciemne plamy, których nic zatrzeć nie może. Nie przypuszczałem, że może nadejść chwila, w której ktoś obcy wkradnie się między nas i odbierze mi ciebie. Zdawało mi się, że do mnie tylko należysz i nikt niema prawa cię dotknąć. Oh! ci nędznicy... oni nie przypuszczają, na jakie straszne męki mnie skazali. Mgła czerwona zasłania mi oczy! Ty! ty Roma!... Czy to możebne, abyś kochała kogoś... czy mam patrzeć, jak inny ściskać cię będzie w ramionach! Oh! nie! nie! lepiej umrzeć stokrotnie... Ukrył twarz w ramionach, gryząc i kalecząc swoje ręce w napadzie bezsilnej wściekłości, nie śmiejąc spojrzeć na kobietę, która stała przed nim. Roma przypatrywała mu się z zimną i spokojną przenikliwością. Wzruszenie, któremu uległa na chwilę, rozwiało się zupełnie. Stała się napowrót panią siebie i szła za myślą, która ją sprowadziła do mieszkania karła.

— Jesteś wielkiem dzieckiem — rzekła ze słodyczą — i naprawdę stan twój wzbudza we mnie ogromną litość, sądząc, że straciłeś we mnie dla siebie życzliwość i że poddajesz się buntowniczym myślom. Na kogo chcesz, bym nadal liczyła, jeżeli na twoje oddanie się liczyć nie mogę i gdy może nadejść chwila, że zawahasz się w wykonaniu moich rozkazów?

— Nigdy! nigdy! Co mam uczynić?

Roma potrząsnęła lekko głową.

— Ja? kochać kogoś — rzekła z uśmiechem.— Wiesz, że w sercu mojem jest tylko jedna jedyna miłość! Znasz ją i nie możesz być o nią zazdrosny. Kochałam raz tylko w życiu i miłość ta zamarła! Jedyne uczucie, jakie gra w moich piersiach, to zemsta — słyszysz Karpol! zemsta! zemsta okrutna, dzika, która mnie przed niczem nie wstrzyma! i która prosto do celu dąży!

Umilkła wzruszona i nagle twarz jej przybrała inny wyraz.

— Mówiłam przed chwilą — rzekła — że nie jestem zdolną do nowej miłości, że serce moje na zawsze zamknięte, jak grób, ale widzę, że się pomyliłam.

— Co? — zawołał Karpol wyrwawszy się nagle z głębokiego zamyślenia.

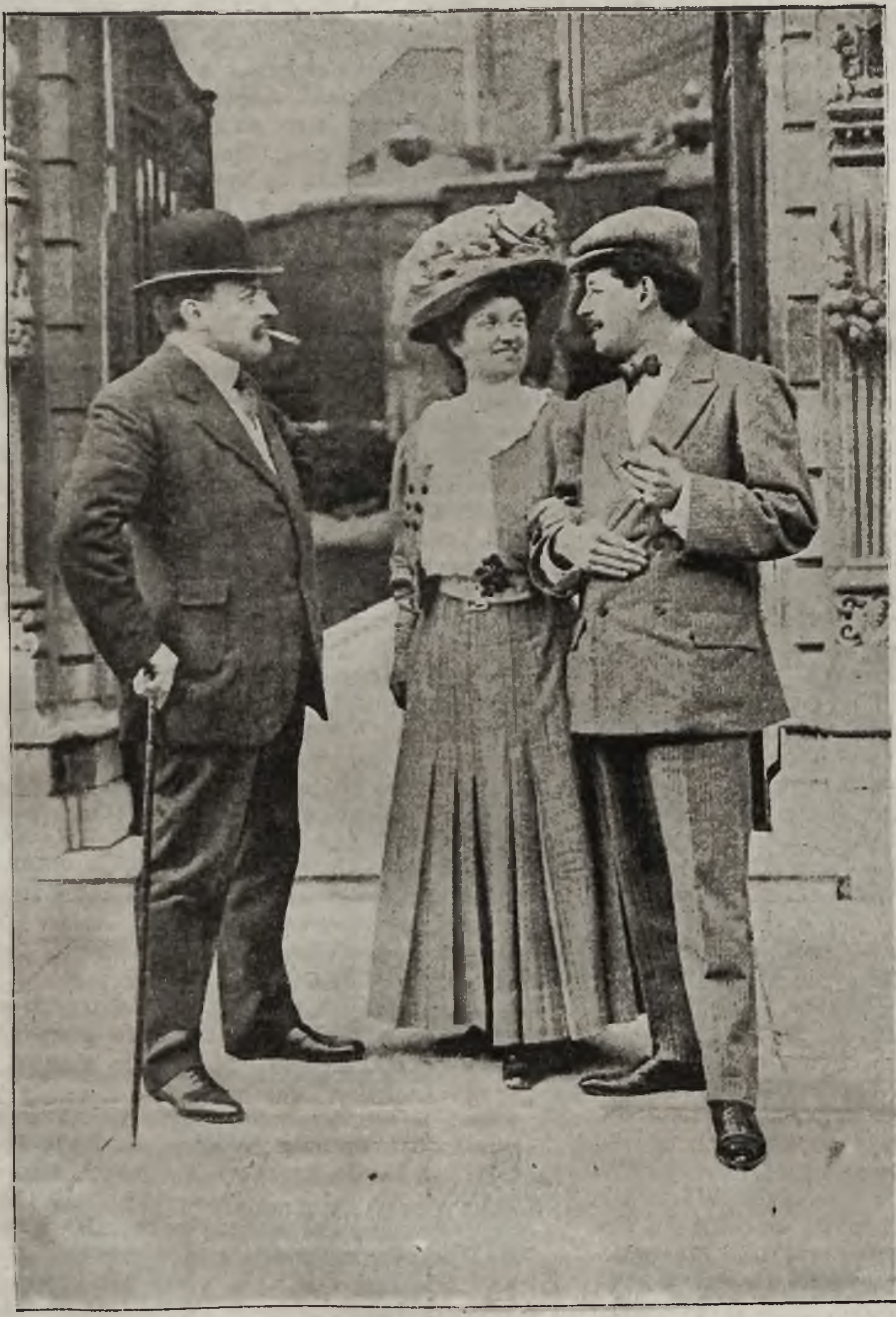
(Ciąg dalszy nastąpi)

Państwo Toselli.

Zakryła się ostatnia karta romansu, a rozpoczęło się szare, smętne pożycie małżeńskie, przetykane gęsto różnemi przykrościami i zawodami. Smutny epilog radosnego początku, a smutniejsze jeszcze będzie ostateczne zakończenie najświeższej miłości byłej żony króla saskiego.

Półtora roku temu w willi, którą zamieszkiwała hr. Montignoso, z niewiadomych przyczyn wszczął się pożar. W chwili tej, jakby z zrządzenia losu, przechodził tamtędy pianista Toselli, który natychmiast pospieszył na pomoc przerażonym mieszkańcom. Pożar ugaszono, skutek jednak jego okazał się doniosłym dla właścicielki. Zapalone serce hr. Montignoso rozgorzało w tym ogniu wielkim płomieniem, który podsycała jeszcze wdzięczność dla bohaterskiego Włocha. Płomienie to były miłe, rozkoszne, łagodne; w zasychającej piersi hrabiny nieciły młodzieńcze porywy i pożądania. Była królowa, pełna monarszej wspaniałomyślności, okazała swą wdzięczność w ten sposób, iż zapragnęła brać lekcye od swego wybawiciela. I rozpoczęły się lekcye, podczas których trzydziestosiedmioletnia ekskrólowa więcej patrzyła w oczy dwudziestoczteroletniego pianisty i więcej marzyła, niż wprawiała się w równe wygrywanie gam. I stało się to, co zwykle się dzieje w podobnych wypadkach: nauczyciel i uczenica pokochali się. W miłości wyrównywują się wszelkie nierówności. Różnicy wieku w bardzo zwykły sposób zaradzono, bo po podzieleniu wspólnej liczby lat, każdy z kochanków przedstawia najpiękniejszy okres życia — trzydziestą wiosnę. Niewinność serc również jednakowego stopnia była, bo skłonności hrabiny do nauczycieli, naprzód do nauczyciela swych dzieci, potem do własnego nauczyciela malarstwa, wreszcie do nauczyciela muzyki a obecnego małżonka, odpowiadała zapewne skłonność pianisty do swych uczenic, jak to się okazało i w tym wypadku. Dalsze chwile zakochanych potoczyły się zwykłą koleją losu, aż zawiodły ich przed urząd dzielnicowy w Londynie, gdzie zawarli ślub cywilny. Zakończenie więc romansu odbyło się cicho, zupełnie przeciwnie niż początek tego upojenia miłosnego, któremu przyświecały płomienie ognia. Ogień ten był zapewne tylko symbolem niegasnących nigdy płomieni gorącego serca hrabiny. I na tym ślubie cała ta zresztą zwykła historya zakończyłaby się, gdyby w grę nie wchodziła księżniczka Pia Monika, do której dwór saski rości pretensye, a której państwo Toselli nie chcą oddać. Z Drezna wyjechali więc agenci w poszukiwaniu za ukrywaną księżniczką, która gdzieś w wiejskim ustroniu spokojnie bawi się w piasku, nie przeczuwając nawet, jak ważną rolę odgrywa już teraz w swym dziecięcym wieku.

Jak się sprawa o księżniczkę zakończy, narazie nikt z osób interesowanych nie umie odgadnąć. Zależeć to będzie i od przyszłych losów młodej pary.



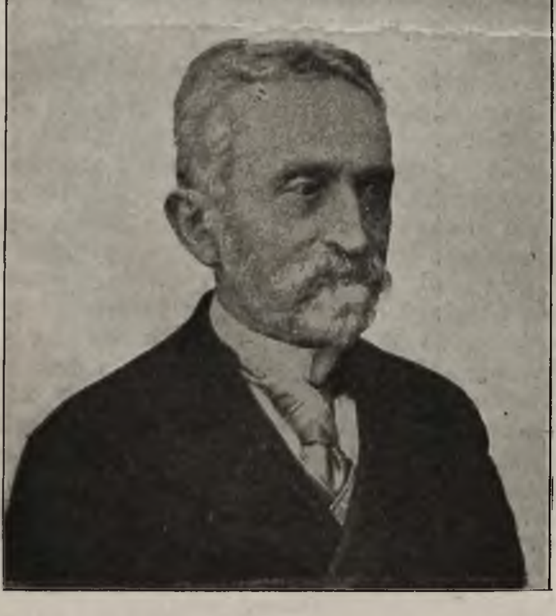
Państwo Toselli: Młodzi małżonkowie wraz ze świadkiem swego ślubu, powieściopisarzem Williamem Le Quent, w pół godziny po ślubie.



Nestor dziennikarzy polskich: Śp. Henryk Rewakowicz, redaktor »Kuryera lwowskiego«.

Nestor dziennikarzy polskich.

Smutna, bolesna wieść nadeszła w poniedziałek ze Lwowa. Oto zmarł tam po długich cierpieniach nestor i weteran dziennikarstwa polskiego, redaktor „Kuryera lwowskiego" i prezes Rady naczelnej polskiego stronnictwa ludowego, śp. Henryk Rewakowicz.



Śmierć b. posła sejmowego: Śp. dr. Alojzy Rybicki.



Fot. K. Seebald, Wiedeń.

W. ks. Włodzimierz w Wiedniu: Cesarz Franciszek Józef z W. ks. Maryą Pawłówną w chwili odjazdu z dworca.

Pod wrażeniem żalu i rozpacznego smutku trudno ogarnąć nawet to jasne jak kryształ życie, pełne pracy i niespożytych zasług, tak znanych, tak różnorodnych, na tylu polach służby narodowej i społecznej, trudno ogarnąć tę postać potężną, o wielkim charakterze, postać męża, jakich nie wiele wydają całe pokolenia, szermierza wszystkiego co tylko dobre, wielkie, święte, postać chorążego szczytnych idei.

Znał go Lwów cały i kraj, znał tę oryginalną od stóp do głowy postać, w zamaszystej czapce, w patryarchalnej kapocie i z sękatą laską w dłoni, męża niezwykle skromnego i cichego w trybie codziennego życia, a głośnego w pracy publicznej, wśród dziennikarzy polskich jednego z najstarszych i największym talentem obdarzonego.

Ze śp. Rewakowiczem schodzi do grobu jeden z ostatnich przedstawicieli dziennikarstwa polskiego starej daty, tego dziennikarstwa, które po rozpaczliwych a wzniosłych ruchach narodowych złożyło oręż zakrwawiony, a chwyciło za pióro, aby niem wywalczyć lepszą dolę Ojczyźnie. A tego dziennikarstwa był on chlubą i ozdobą. Bo pojmował swój zawód jako publiczną, narodową służbę i pełnił ją z całą wiarą i przekonaniem w to, co pismem głosił, bo na całem jego długiem życiu nie było ani jednej plamki. Czysty był jak kryształ ten szermierz demokratycznej, ludowej idei polskiej, nie uginający przed nikim karku, nie sprzedający nikomu w służbę swej myśli i pióra. A ideałom lat młodzieńczych pozostał wiernym i rąbał wszystkim prawdę w oczy, nie ugięty, prawy, czysty i dziwnie skromny, tak skromny, że gniewał się, kiedy o jego pracy mówiono, gniewał się, kiedy przychodzono doń z odznaczeniami obywatelskiemi.

Dziś go zabrakło, zabrakło tej sympatycznej, na wskroś poczciwej i serdecznej twarzy, zamknęły się na wieki spracowane jego i schorowane oczy, przestało bić serce gorejące wielkim płomieniem miłości Ojczyzny.

Zmarł biedny, jak biedny przeszedł całe życie, które mu nie szczędziło cierni. W ostatnich latach prawie zupełnie ociemniał wskutek katarakt, śmierć zabrała mu żonę i ukochanego syna. Lecz znosił te ciosy z męstwem, z tą siłą charakteru, jaka go zawsze cechowała.

Cześć jego zacnej pamięci!

W. ks. Włodzimierz w Wiedniu.

Kwestya bałkańska, a w szczególności macedońska, nie przestaje zajmować umysłów dyplomatów i z każdym dniem staje się bardziej piekącą, domagając się rychłego i stanowczego załatwienia. Interesowane w tej sprawie są przedewszystkiem państwa sąsiednie, a więc Austro-Węgry, Rosya i Włochy. Wszystkie te państwa dążą usilnie do pokojowego rozwiązania tej zawiłej sprawy.

W związku z tem pozostaje wizyta w. ks. Włodzimierza, stryja cesarza Mikołaja II w Wiedniu, będąca ze strony rządu rosyjskiego, którego w tym wypadku przedstawicielem jest wielki książe, stwierdzeniem pokojowych dążności, a prócz tego objawem przyjaźni, łączącej oba państwa.

W. ks. Włodzimierz przybył w zeszłym tygodniu z Budapesztu do Wiednia w towarzystwie swej małżonki Maryi Pawłówny. Na dworcu przywitał gościa cesarz Franciszek Józef i arcyks. Franciszek Ferdynand, obaj w mundurach pułkowników rosyjskich, w otoczeniu świty i jeneralicyi. Następnie udał się w. ks. Włodzimierz z żoną, prowadzoną przez cesarza austryackiego, do salonu dworskiego, a stamtąd powozami do burgu.

Po kilku dniach pobytu w stolicy Austryi, w czasie którego odbył się cały szereg przyjęć u dworu, śniadań i obiadów, opuścił w. ks. Włodzimierz granice Austryi, żegnany ze wszystkimi w takich wypadkach stosowanymi honorami.

Kronika tygodniowa.

Połowę, a może nawet dwie trzecie dzisiejszej kroniki zajmie Lwów, są bowiem na niego, mówiąc stylem dziennikarskim, zwrócone oczy całej Galicyi. Przyczyna tego zezowania ku Lwowu leży w tem, że ma się w nim urodzić nowa ordynacya wyborcza, która ma uszczęśliwić cały naród i „wszystkie jego przyszłe pokolenia“. Nie jest to bynajmniej zdanie piszącego te słowa kronikarza, gdyż on w swym sceptycyźmie zachodzi tak daleko, że nie wierzy, aby jakakolwiek ordynacya wyborcza zapewniła raj na ziemi mieszkańcom królestwa Galicyi i Lodomeryi z wielkiem księstwem Krakowskiem i księstwami Oświęcimskiem i Zatorskiem. Kronikarz sądzi, że czy Pawły czy Gawły zasiadać będą w gmachu, obróconym frontem do ogrodu jezuickiego, to postać rzeczy nie wiele się odmieni, — będzie trochę gorzej, albo trochę lepiej, ale tylko trochę, tylko małą odrobinę. Radykalnego przewrotu w całej Austryi miały dokonać powszechne wybory do parlamentu, a tymczasem o tym przewrocie dotychczas ani słychu. Skąd więc myśleć o radykalnym przewrocie w Galicyi, kiedy tu nawet o powszechnych wyborach do sejmu niema mowy.

Inaczej jednak na te rzeczy zapatrują się zawodowi politycy. Dla nich reforma galicyjskiej ordynacyi sejmowej jest czemś tak potężnem, że zależą od niej losy nietylko całej Galicyi, ale całej Polski. Nie chcąc być posądzonym o przesadę, przytoczę parę ustępów z artykułu jednego z pism lwowskich. Oto i one.

„Drgnęła. Wszyscy czujemy to dobrze. Wszyscy widzimy, że ta umiłowana i najdroższa wyciąga ku nam swe dostojne dłonie — słyszymy jak mówi: zróbcie przynależne miejsce majestatowi i świętości mojej. Długie, długie lata czekaliśmy tej chwili... Godzina uderzyła, ta godzina, która nieodwołalnie ma stanowić o dalszej przyszłości naszej i losach Ojczyzny... Reforma wyborcza od bram parlamentu państwowego siłą ciężkości potoczyła się w odrzwia poszczególnych krajów koronnych i zakołatała w podwoje sejmu naszego... I od tej chwili serce całej Polski skupia się we Lwowie... Od wieku całego nie było ważniejszej chwili w życiu naszego organizmu... Drgnęła! Wszyscy czujemy to dobrze: wszyscy widzimy, że posunęła się wskazówka na zegarze dziejowym, że zbliża się wielka, promienna, Kościuszkowska wiosna...“

Dość cytaty. Widzą z niej czytelnicy, że stoimy na progu szczęścia, i że nie brak nam... poetów. Więc kiedy cała Polska „drga“, kiedy „całej serce“ skupia się we Lwowie, kiedy stamtąd, z nad nurtów Pełtwi, zbliża się do nas „Kościuszkowska wiosna“ — trudno wymagać od kronikarza, aby i on nie drgał i nie skupił się we Lwowie.

Ale choć „drgam“, czuję jednak, że z tą wiosną Kościuszkowską, czyli zmianą sejmowej ordynacyi wyborczej, jakoś nie tęgo idzie. Wprawdzie konserwatyści wyprawili bankiet na cześć JE. Bobrzyńskiego, autora jednego z projektów wiosenno-Kościuszkowskich, ale nie była to weselna uroczystość, lecz stypa pogrzebowa, gdyż projekt Jego Ekscelencyi zmarł z braku sił żywotnych. Te same losy czekają projekty posłów Głąbińskiego, Rutowskiego, Cieńskiego, Kramarczyka, Buzka, Stapińskiego itd. „Krakowiacy“ się rozbili, „centrum“ podobno dogorywa. Widzimy więc, że ta „wiosna“ jest mroźna, że nic nie zapowiada, aby po niej nastało pogodne lato. Widocznie ów zegar, na którym, według wyrażenia cytowanego dziennikarza-poety, „godzina zabiła“ i „posunęła się wskazówka“, jest mocno zepsuty i trzeba go dać na gwałt do naprawy. Usiłował to uczynić JE. Piniński, ale okazało się, że z niego nieszczególny zegarmistrz. Proponował on między innemi, aby pewną ilość posłów wybierały rady miejskie: krakowska i lwowska. Naturalnie, że Lwów reprezentowałyby same „łyki“ ze Strzelnicy, jako panowie położenia, a Kraków miałby w sejmie jedynie przedstawicieli tego stronnictwa, które w danej chwili stałoby u steru rządów miejskich. Zamieniłby stryjek siekierkę na kijek.

Tak jak sprawa dziś się przedstawia, reforma wyborcza albo całkiem świata nie ujrzy, albo będzie płodem niedonoszonym, nieznającym warunków życia. Ma za wielu ojców i za wielu akuszerów — a w tym wypadku każdy akuszer to fuszer. Stąd też śmiało możemy za chórem z „Dziadów“ powtarzać: Ciemno wszędzie, głucho wszędzie — co to będzie, co to będzie?

A we Lwowie jest ciemno nietylko na punkcie niewiadomości co się stanie z reformą wyborczą, ale ciemno naprawdę. Robotnicy w miejskim zakładzie gazowym zawiesili pracę i od kilku dni tylko gdzieniegdzie płoną lampy w państwie Ciuchcińskiego. Na głównych ulicach ratują jeszcze jako tako sytuację wystawy sklepowe, ale tylko na parę godzin wieczornych. Poza tem Lwów przypomina sobie te błogie czasy (niebardzo zresztą dawne), kiedy to z woli ojców miasta nie zaświecano lamp w dni... księżycowe, a raczej w dni, kiedy księżyc świecić był powinien. Może ktoś to uważa za bajkę? Nie, to święta prawda. Jeszcze przed 20 laty podczas pełni i dni jej najbliższych, choćby niebo było zachmurzone, choćby deszcz padał, na ulicach Lwowa panowały egipskie ciemności.

Strejk robotników gazowych, o ile można sądzić z dzienników, nie jest usprawiedliwiony, pobierają oni bowiem płace stosunkowo niezłe. Co więcej, przed dwoma tygodniami otrzymali podwyżkę płacy, wynoszącą koło 10.000 kor. rocznie. Strejk powstał bez postawienia jakichkolwiek żądań i bez wypowiedzenia, a zorganizował go „Związek katolickich robotników“. Nie można więc nawet zwalać winy na socyalistów. Ba! według socyalistycznego „Głosu“ strejk ten jest „wsteczną, ogłupiającą polityką, mamieniem ciemnych, szalbierczą robotą...“ Widzimy więc, że socyalistów z powodzeniem zastępują... katolicy. Ten sam „Związek katolicki“ urządził już poprzednio strejk robotników, zajętych przy oczyszczaniu miasta. Nie kijem, to pałką — nie strejkują socyaliści, to strejkują katolicy.

Ale za to Lwów będzie miał wspaniałe miejsca ustępowe. Zamówiono u braci Mund cztery pisoiry za 50.000 koron. Aż zazdrość bierze. Bo to, proszę państwa, koszt jednego takiego budynku wyniesie 12.500 koron, to jest akurat tyle, ile potrzeba na wybudowanie sobie murowanego domku o 4—5 porządnych pokojach. A więc zwykły szalet, do zwykłego użytku, postawiony za tanie pieniądze, będzie zapewne jakiemś arcydziełem sztuki. Może wybitni artyści będą malowali do niego platony, może jaki instrument muzyczny będzie uprzyjemniał spędzone w nim chwile...

Ale dość już Lwowa, bo oto cesarz Wilhelm zdobył Poznań, bo oto pani Montignoso czuje się zupełnie szczęśliwa w objęciach muzyka Tosellego, bo oto pan Izwolski odwiedził Wiedeń, bo oto Anglicy zabili Morengę, bo oto Rosyanie kijowscy wyrażają radość, że znaleźli się wśród Polaków ludzie „istinno-russkije“ (tak zwani „krajowcy“), bo oto „Kosmetyka“ ogłasza interesujący konkurs, bo oto jakąś dziewicę skazano w Ameryce na wysoką karę pieniężną za „uwiedzenie“ (?) żonatego mężczyzny. Nad każdym z tych faktów i nad wielu jeszcze innymi wartoby się głęboko zastanowić. Ale brak miejsca zmusza mnie przejść nad niemi do porządku dziennego, czyniąc wyjątek jedynie dla konkursu „Kosmetyki“.

Pismo to, redagowane przez dra Zamenhofa (czyżby to był ten sam, co wynalazł język Esperanto?), jest bardzo ciekawe: „kiedy i dlaczego starzeje się kobieta?“, w „którym roku życia należy wstępować w związki małżeńskie?“ „Czy i kiedy należy uświadamiać młodzież w sprawach seksualnych“. „Dlaczego dziś mamy coraz mniej zdrowych i ładnych kobiet?“ „Czy pocałunki są niebezpieczne?“ itd. itd. Wszystkie te zapytania to zarazem tematy konkursowe, za których najlepsze opracowanie przeznacza „Kosmetyka“ nagrody w ilości 200, 100 i 50 rubli.

Nie ubiegając się o te nagrody, pragnę jednak ciekawość „Kosmetyki“ zaspokoić. Kobieta dlatego starzeje się, kochana pani „Kosmetyko“, że starzeją się wszystkie stworzenia od najmniejszych do największych, od mrówki do wieloryba — takie jest prawo natury i basta! Kiedy się zaś starzeje, to zależy od indywidualności: jedne już koło trzydziestki są „babinami“, drugie koło pięćdziesiątki trzymają się jeszcze dziarsko i żarem płoną. Żenić się należy (pytanie drugie) wówczas kiedy można i warto; jeden może się zdobyć na ten czyn heroiczny już w 21 roku życia, drugi ma możność „zrobić głupstwo“ dopiero koło czterdziestki; ożenić się z dobrą dziewczyną zawsze warto, ożenić się z „dyabłem“ nigdy się nie opłaci. Temat to jednak za obszerny, więc przechodzę do trzeciego. Uświadamiać dzieci niema poco, bo to zawcześnie, uświadamiać zaś młodzież, choćby 14—15-letnią, również niema po co, bo to już zapóźno. W dzisiejszych stosunkach i warunkach „chłopczyki“ i „panienki“ tak się prędko uświadamiają, że chyba „tylko naiwny“ ojciec przypuszcza, iż jego kilkunastoletnia „pociecha“ wierzy jeszcze w bociana. Pytanie czwarte: dlaczego dziś mamy mniej zdrowych i ładnych kobiet, pozostawiam bez odpowiedzi aż do czasu, w którym mi kto dowiedzie, że wczoraj było ich więcej; były i wczoraj brzydkie i słabowite, są i dziś zdrowe i ładne. I przed 50 i przed 100 i przed 200 laty też utyskiwano na degeneracyę, też opowiadano bajki, że dawniej lepiej było. Wreszcie (pytanie piąte) co do pocałunków jestem tego zdania, że są one o tyle niebezpieczne, o ile... prowadzą do ołtarza.

Automobil w usługach straży pożarnej.

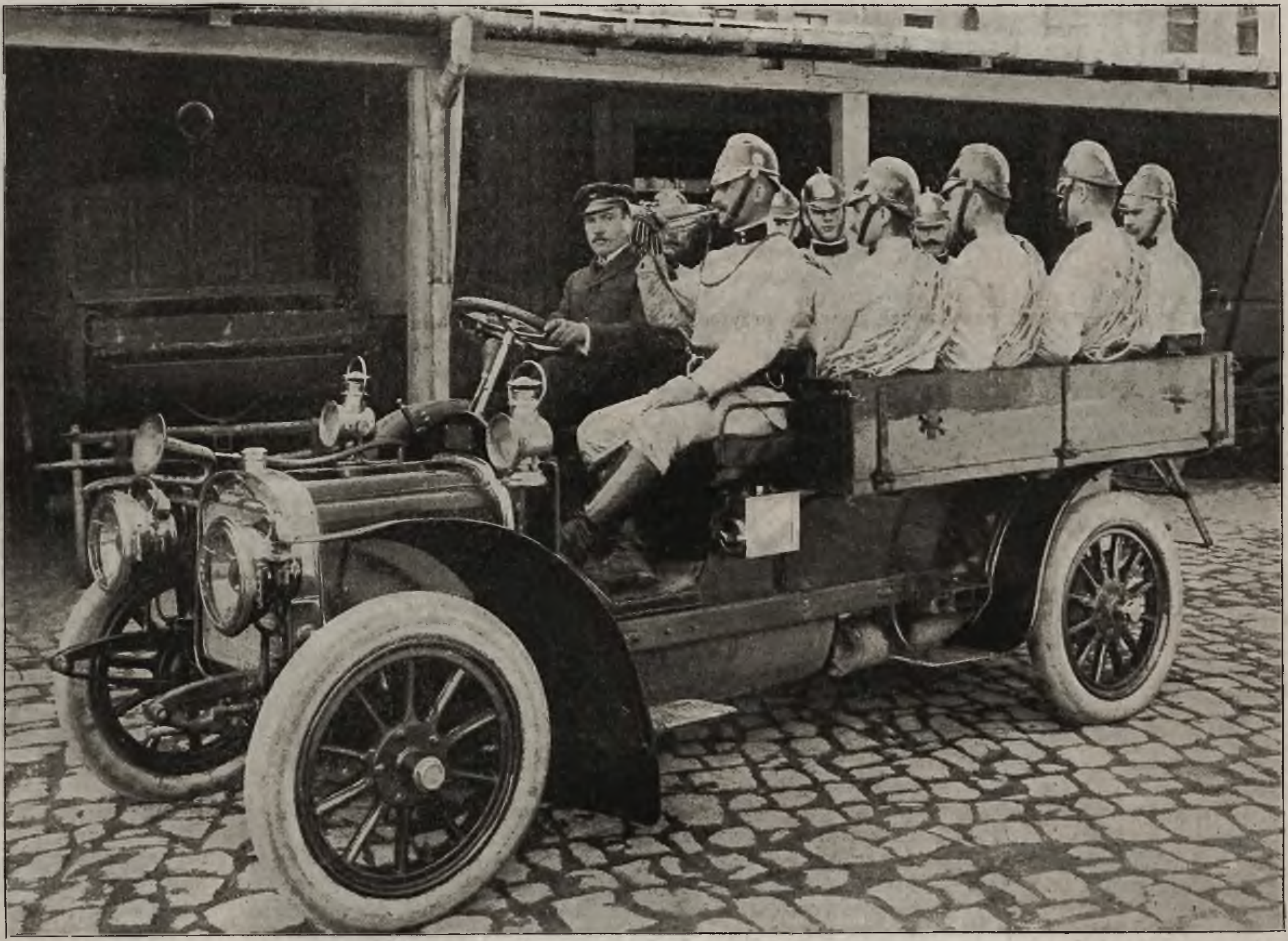
Straż pożarna krakowska ma od bardzo wielu lat opinię znakomitej, zorganizowanej wedle najnowszych wymogów techniki pożarnictwa, prawdziwie po europejsku. Niema prawie w tej dziedzinie wynalazku ani ulepszenia, któregoby – o ile tylko okaże się to możliwem — nie zastosowano w krakowskiej straży.

Świeżym dowodem tej postępowości pożarnej straży krakowskiej i troskliwości jej zarządu o wprowadzenie najnowszych urządzeń, są próby z automobilem w zastosowaniu do potrzeb straży. W tym celu sprowadzono z Wiednia samochód o sile 16 koni, na którym zamiast zwyczajnego powozowego urządzenia jest wygodne, obszerne siedzenie, mogące pomieścić 9 członków straży, prócz maszynisty.

W razie wybuchu pożaru, zwłaszcza w odleglejszej stronie miasta, wsiadają do przygotowanego samochodu strażacy i w mgnieniu oka przybywają na miejsce wypadku. Chyżość, jaką osiągnąć można przy zastosowaniu automobilu, umożliwia rozpoczęcie akcyi ratunkowej natychmiast po wybuchu ognia, a tem samem czyni tę akcyę bez porównania lżejszą i łatwiejszą.

Pierwsze próby, jakie z nowym automobilem czyni straż krakowska pod kierunkiem naczelnika p. Nowotnego, odbywają się przy współudziale spowadzonego z Wiednia szoffera. Równocześnie dwaj strażnicy obznajamiają się z mechanizmem automobilu i ze sposobem jego prowadzenia, aby następnie objąć role szofferów.

O ile próby wydadzą rezultat dodatni, gmina miasta Krakowa zakupi taki samochód i odda go na usługi swej straży pożarnej.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis Kraków.

Automobil na usługach straży pożarnej: Pogotowie straży pożarnej w automobilu.

„Szkoła“ na scenie.

Czteroaktowa sztuka Zygmuuta Kaweckiego p. t. „Szkoła“, wystawiona w zeszłą sobotę po raz pierwszy na scenie krakowskiego teatru, zdobyła sobie bardzo duże powodzenie. Autor jej wykazał tu te same zalety swego talentu, które cechowały jego pierwszy utwór sceniczny „Dramat Kaliny“. A więc nadzwyczajną bystrość i trafność obserwacyi, doskonałe ujęcie charakterów osób działających, sporo humoru i życia, które przeniesione na scenę, czynią sztukę bardzo interesującą. P. Kawecki daje tam ponadto jaskrawy obraz braków dzisiejszego szkolnictwa, wskazując równocześnie drogi do jego uzdrowienia.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis

»Szkoła« na scenie: Akt II. Podczas lekcyi prof. Sobotniewicza (p. Zelwerowicz).

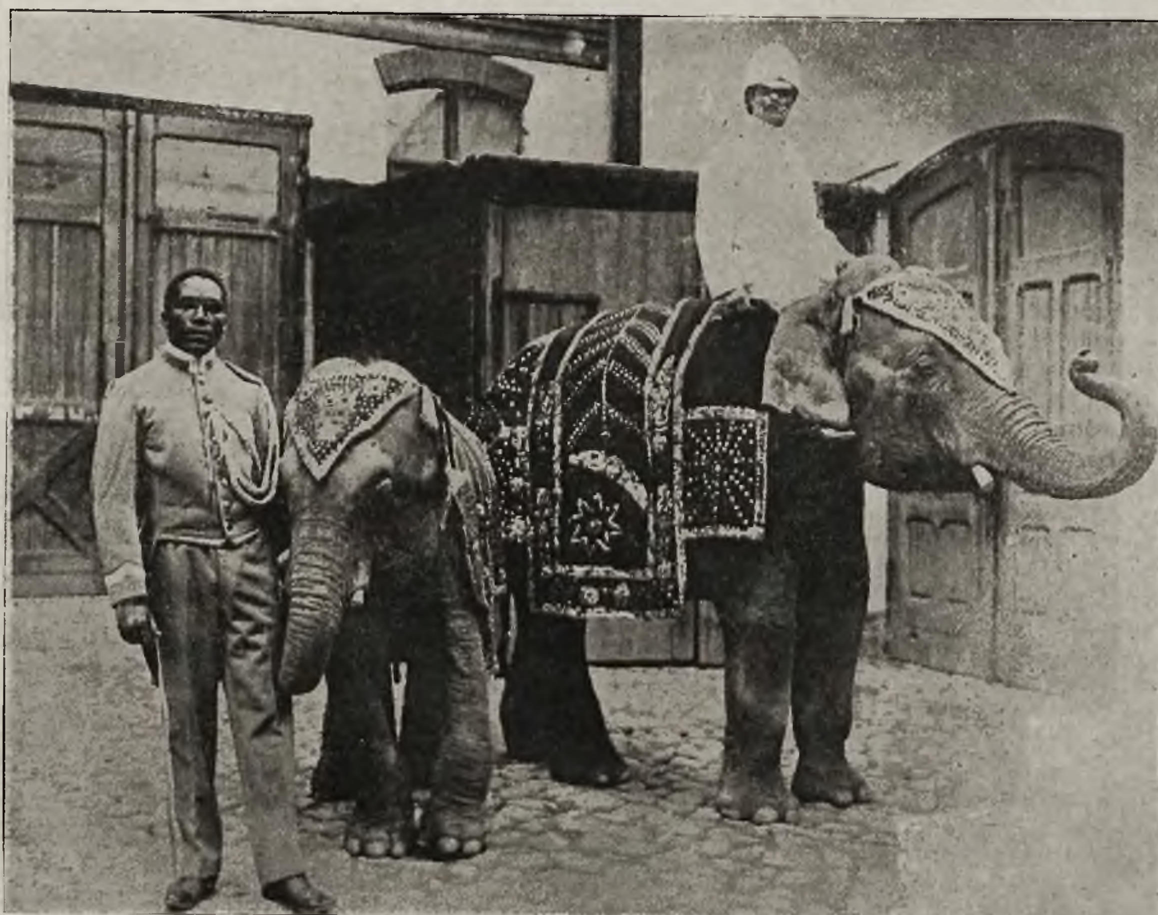
„Szkoła“ składa się z czterech aktów, z których każdy jest przepysznym obrazkiem rodzajowym. Pierwszy zaznajamia nas z tajnikami „stancyi“ studenckich i ze wszystkiemi ich rozkoszami, jak ciasnota, brak powietrza, lichy wikt, jeszcze



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis
»Szkoła« na scenie: Akt I. Blas przerabiający lekcyę z I. klasistą.

lichsza opieka lub sąsiedztwo marnego indywiduum, które odwiedzają „siostry cioteczne“. Akt drugi rozgrywa się w szkole, w klasie podczas „godziny“. Widzimy tam dwa skrajnie odmienne typy profesorów, a dalej rzeszę żywej, gwarnej, wesołej studenteryi, wszystko podchwycone z fotograficzną niemal ścisłością i trafnością. Trzeci akt słabszy, bo melodramatyczny, odbywa się w domu matki bohatera sztuki, czwarty zaś i ostatni daje znowu doskonale zaobserwowany obraz konferencyi grona nauczycielskiego, a w tem gronie nadzwyczajnie ujęte typy profesorów, jednych zapleśniałych i zaśniedziałych w swym konserwatyźmie pedagogicznym, drugich patrzących na życie, na szkołę, na młodzież sobie oddaną oczyma pełnemi miłości i pragnących wprowadzenia w system wychowawczy nowych dróg, nowych myśli.

Do powodzenia sztuki p. Kaweckiego przyczyniło się nie mało wyborne jej wykonanie, a zwłaszcza reżyserya bardzo staranna i pomysłowa. Personal artystyczny teatru krakowskiego ma w swym składzie cały szereg sił młodych, a utalentowanych, dzięki czemu role uczniów gimnazyalnych mogły znaleść doskonałych wykonawców. Nie sposób wymieniać tych, którzy z zadania wywiązali się bez zarzutu, bo trzebaby w tym celu powtórzyć prawie cały rejestr osób w „Szkole“ występujących.



Smierć wroga Prusaków: Franciszek Morenga, brat dowódcy Hotentotów, jako dozorca słoni w cyrku Buscha w Berlinie.

Nowa wyprawa do bieguna północnego.

Równocześnie prawie z wiadomością o nieudaniu się głośnej w całym świecie wyprawy amerykańskiego podróżnika Wellmana, który zamierzał balonem dotrzeć do bieguna północnego, doszła nas wieść inna, dla nauki pomyślniejsza, iż duński kapitan Einer Mikkelsen, który również wybrał się w daleką północ w celach naukowych, zdołał już część swych zamiarów urzeczywistnić. Kapitan Mikkelsen wytknął sobie cel dla geografii i pokrewnych jej gałęzi nauki bardzo interesujący i doniosły, mianowicie zbadanie tej części północnego morza



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis. Kraków
»Szkoła« na scenie: Akt IV. Grono profesorów debatuje w sali konferencyjnej nad wykluczeniem ucznia Orzelskiego.

Lodowatego, która rozciąga się między arktycznym archipelagiem Północnej Ameryki a położoną przed wschodnią Syberyą wyspą Wrangla.

Głównym celem wyprawy Mikkelsena było odkrycie krainy, która — jak przypuszczać można na podstawie prądów, panujących na północ od drogi Beringa — leży na północ od Alaszki, lub w pobliżu wyspy Wrangla. Podróż na saniach, którą w tym celu należało podjąć na przestrzeni około 1500 klm., miała się rozpocząć na jednej z wysp na zachód od północno-amerykańskiego archipelagu. Równocześnie ruszył na północ jego statek i w czasie od maja aż do końca lata 1906 r., przebył połowę wyznaczonej drogi. Mikkelsen spędził zimę na wyspie Flaxmana, a gdy stosunki klimatyczne ułożyły się pomyślniej, podążył w dalszą drogę. W lutym br., w towarzystwie geologa Leffingwella i jeszcze jednego podróżnika, ruszył saniami ku północy, tam bowiem, wedle zapewnień tubylców, miała się znajdować jakaś kraina. W odległości 80 klm. na północ, nie natrafiono na żaden ląd. Mimo to dzielnym podróżnikom przyświeca w ich pełnej poświęcenia dla nauki pracy nadzieja, że przedsięwzięcie ich uwieńczy pomyślny skutek.

Śmierć b. posła sejmowego.

W sędziwym wieku, przeżywszy 85 lat, zmarł przed kilkn dniami we Lwowie dr. Alojzy Rybicki, b. adwokat krajowy, dyrektor banku hipotecznego i poseł do sejmu.

Śp. Alojzy Rybicki poświęcił się po ukończeniu studyów prawniczych i uzyskaniu doktoratu zawodowi adwokackiemu i w Rzeszowie prowadził przez szereg lat kancelaryę. W r. 1877 przeniósł się do Lwowa, powołany na stanowisko dyrektora gal. Banku hipotecznego. Przez pewien czas piastował zmarły mandat poselski do sejmu, był członkiem wydziału krajowego oraz prezesem rady powiatowej rzeszowskiej.

W r. 1900, z powodu podeszłego wieku opuścił stanowisko dyrektora Banku i przeszedł na emeryturę, a z szeregu godności zachował tylko stanowisko członka Rady nadzorczej Banku. Śp. Alojzy Rybicki był ojcem dyrektora kolei państwowych we Lwowie, radcy dworu, Stanisława Rybickiego.

Śmierć wroga Prusaków.

Najzaciętszy wróg kultury niemieckiej w Afryce, Morenga, dowódzca Hottentotów padł od kuli Anglików. W ostatnich czasach rozpoczął znowu walkę podjazdową przeciw wojskom niemieckim, gdy jednak ścigany przez przeważające siły przechodził granicę posiadłości niemieckich, zastąpił mu drogę oddział angielski. Broniąc się, padł Morenga wraz z swoim synem i wujem.

Pozostali członkowie rodziny Morengi nie będą w stanie zastąpić zabitego dowódzcy, nie odznaczają się bowiem temi zaletami, jakie uczyniły z Morengi doskonałego wodza murzynów. Zdarza się czasem, iż synowie wielkiego człowieka odziedziczają po swym ojcu nietylko sławę, ale i jego talent, należy się więc spodziewać, że zdolności



Marya Bogucka.

wojownicze Morengi przeszły i na jego spadkobierców. Niestety często dzieje się zupełnie inaczej, jak w tym wypadku, gdzie jeden z braci Morengi zdradził nawet sztandar swego brata, przyjmując służbę u Niemców. Franciszek Morenga, zamiast tępić swych wrogów, zgodził się na dozorcę słoni w cyrku Buscha. Od wielu już lat pozostaje w Berlinie, produkując się na arenie ze słoniami.

Gdy Niemcy rozpoczęli w Afryce walkę z murzynami, gdy sława Morengi rozeszła się po całym świecie, właściciel cyrku Busch, razem ze słoniami pokazywał publiczności i brata pogromcy Niemców. Pyszni berlińczycy cieszyli się, że choć jeden z Morengów musi im służyć.

Marya Bogucka.

Krakowskie towarzystwo muzyczne urządza w połowie października koncert Griegowski. W ten sposób odda muzykalny Kraków hołd pamięci genialnego kompozytora, zmarłego przed paru tygodniami, towarzystwo zaś muzyczne zyska sobie niewątpliwie wdzięczność publiczności za zaznajomienie jej z szeregiem prześlicznych a przeważnie nieznanych utworów zmarłego mistrza tonów.

Do podniesienia wartości artystycznej zapowiedzianego koncertu przyczyni się w niemałej mierze współudział w nim znakomitej śpiewaczki, p. Maryi Boguckiej, b. artystki opery warszawskiej. P. Bogucka skończyła właśnie szereg gościnnych występów na scenie czeskiego „Narodnego Divadla“ w Pradze, a w połowie października, po koncercie Griegowskim, wyjedzie do Włoch. Do końca listopada śpiewać będzie p. Bogucka w operze w Bolonii, przez grudzień zaś, styczeń i luty w operze w Turynie.

Młoda ta śpiewaczka należy już dziś do pierwszorzędnych gwiazd, a prześliczny jej głos i nadzwyczajne warunki zewnętrzne w zachwyt wprawiają każdego, kto miał sposobność słyszeć ją i widzieć na scenie.

Gościnne występy utalentowanej artystki w Pradze, zamieniły się w szereg serdecznych, gorących owacyj ze strony muzykalnej publiczności czeskiej, która w ten sposób dawała wyraz zachwytowi i uznaniu dla naszej rodaczki. Już pierwszym występem w roli Tatjany w „Eugeniuszu Oneginie“ Czajkowskiego zdobyła sobie p. Bogucka jednogłośne uznanie krytyki. Jeden z najwybitniejszych krytyków miejscowych pisał po tym występie: „Nie możemy sobie wyobrazić, żeby którakolwiek inna rola mogła lepiej odpowiadać usposobienin i talentowi pani Boguckiej, niż partya Tatjany. Co wzniosłego, uczuciowego i tkliwego autor i kompozytor w rolę tę włożyli, wszystko to w śpiewie i grze artystki wyraża się jako coś skończonego, co każdego za serce chwyta...“

Publiczność krakowska będzie miała sposobność—jak wspomnieliśmy na wstępie -- usłyszeć znakomitą artystkę w niedługim już czasie i stwierdzić, o ile powodzenie p. Boguckiej w Warszawie, w Pradze i w czasie dawniejszych występów we Włoszech było uzasadnione.

Z lwowskiego bruku.

(Powszechne ciemności z powodu strejku gazowego. — Pompierzy przy robocie. — Wojsko przy latarniach. — Ciemność dla złodziei. — Jeszcze o brylantowej aferze. — O reformie wyborczej i setkach projektów. — Demonstracya przed Sejmem. — Okradziony dyrektor teatru. — Z teatru miejskiego).

Piszę ten list po ciemku, bo cały Lwów pogrążony jest w tej chwili w takich ciemnościach, jakby tu chodziło o żywą ilustracyę stanu umysłowego jego mieszkańców. Robotnicy gazowni miejskiej strejkują nietylko w celu uzyskania większej płacy dziennej, ale także w celu pokazania, że robotniczy związek katolicki potrafi tak samo, jak partya socyalistyczna urządzić i przeprowadzić strejk. I mamy strejk. Magistrat lwowski już nieraz nagabywany był strejkiem i zawsze z początku próbuje wykręcić się sianem. Czeka i zastępuje strejkujących robotników innymi. Teraz np. pompierzy zapalają latarnie. Ogromnie to pociesznie wygląda, bo pompierzy nie mają żadnej wprawy w tym kunszcie i pocą się i szturkają drążkiem zapalonym w latarnie, a latarnia głucha jest na ich wołania i błagania: niech się stanie jasność. I owszem jest dalej ciemno, a przypatrująca się temu procederowi gawiedź jest bardzo zadowolona i krzyczy: wiwat! W tym tygodniu mają — na wypadek, gdyby się strejk nie zakończył — wydelegować wojsko do zapalania latarń. Taki obrońca ojczyzny nadaje się jakoś lepiej do robienia światła, niż pompier, który z natury swojego urzędu umie tylko gasić ogień.

Kiedy magistrat zdecyduje się tę ciemną sytuacyę w mieście rozjaśnić, jeszcze niewiadomo — na razie jest u nas bardzo ciemno, a mieszkańcy ulic oddalonych nieco od śródmieścia uciekają już przed wieczorem do domów i niewychylają się z nich aż nazajutrz, bo złodzieje i rzezimieszki mają teraz prawdziwe żniwo i zbierają zapasy na zimę.

Także jeszcze nie rozjaśniła się brylantowa afera arystokratyczna, pomimo, że w tym tygodniu miało się pojawić w dziennikach sprostowanie, czy wyjaśnienie całej sprawy ze strony p. Orłowskiego. Bohaterka afery, pani de M., siedzi w hotelu Georgea, co wieczór chodzi do teatru, gdzie zajmuje loże na I. piętrze obok loży namiestnika i... porobiła już liczne znajomości między posłami sejmowymi i ludźmi z lepszych sfer. Również jeszcze nic niesłychać o tem, jak się skończył jej proces wiedeński, którego termin przesunięto z 19 na 26-ty września, to tylko jest wiadomem, że p. Orłowski wytrzasnął (nawet nie we Lwowie) kilkanaście tysięcy i dał jej, ażeby zapłaciła Politzerowi, u którego brylanty były zastawione. Ale Lwów przeszedł już nad tą całą aferą do porządku dziennego i zajmuje się czem innem.

W tej chwili najwięcej mówi się o reformie wyborczej i o setkach projektów reformy, z których każdy jest niezawodną receptą na uszczęśliwienie ludzkości, a żaden z nich niema dziesięciu szczerych zwolenników. Najwięcej zwolenników ma czteroprzymiotnikowe prawo wyborcze, co można było zauważyć na niedzielnej demonstracyi przed sejmem, kiedy deputacya wręczyła marszałkowi stosowny memoryał. Nowością tu było, że prócz policyi starał się o porządek cały sztab żandarmów z karabinami nabitymi i najeżonymi bagnetami, jakby deputacya nie papierowy memoryał, ale melinitową bombę nosiła marszałkowi w prezencie. O mało co nie przyszło do rozlewu krwi, ale na szczęście strona, mająca być „rozlaną“, miała więcej rozumu i ustąpiła.

Bawi u nas ruski teatr, którego dyrektor pan Stadnik przygotował sobie gotówkę do wypłacenia gaży i zaliczek aktorom, a tymczasem lwowscy złodzieje rozkradli mu całą kasę i jeszcze zabrali dużo wartościowych przedmiotów tak, że obecnie grozi ruskim aktorom głód na lwowskim bruku. W teatrze miejskim dali w piątek popołudniu przedstawienie, ale publiczności zebrało się tak mało, że dochodem ledwie pokryto koszta. „Ruska besida“, która jest patronką teatru, obchodzi się z nim po macoszemu, gdyż wypuszcza go w pacht prywatnemu przedsiębiorcy i więcej się o nic nie troszczy.

Teatr miejski nie wypuścił jeszcze gwiazd, ale już wchodzi w pełnię sezonu, bo już i sezon operowy rozpoczęty, a nowe siły pokazują się jedna po drugiej publiczności i recenzentom. Recenzenci — zwłaszcza dramatu — w tym sezonie zrobili kiepski początek, bo zbabrali Lillę Wenedę, mianowicie wystawę a raczej reżyseryę i grę aktorów oraz „Łódź kwiatową“ — samą sztukę i jej autora. Muzyczni są powściągliwsi i mniej straszni. Nic więc dziwnego, że p. Heller w ostatnich dniach trochę pobladł i rozgląda się za drugą willą. Mieliśmy tu zobaczyć i usłyszeć panią Ordon-Sosnowską na koncercie Malawskiego, ale koncert nie przyszedł do skutku z powodu niedyspozycyi koncertanta, czy publiczności. *Kl.*

Przemysł graficzny w Krakowie.

Przed paru laty powstał w Krakowie zakład graficzny „Zorza". Właściciel i kierownik „Zorzy" p. Zygmunt Gottlieb, artysta-malarz i technik re-



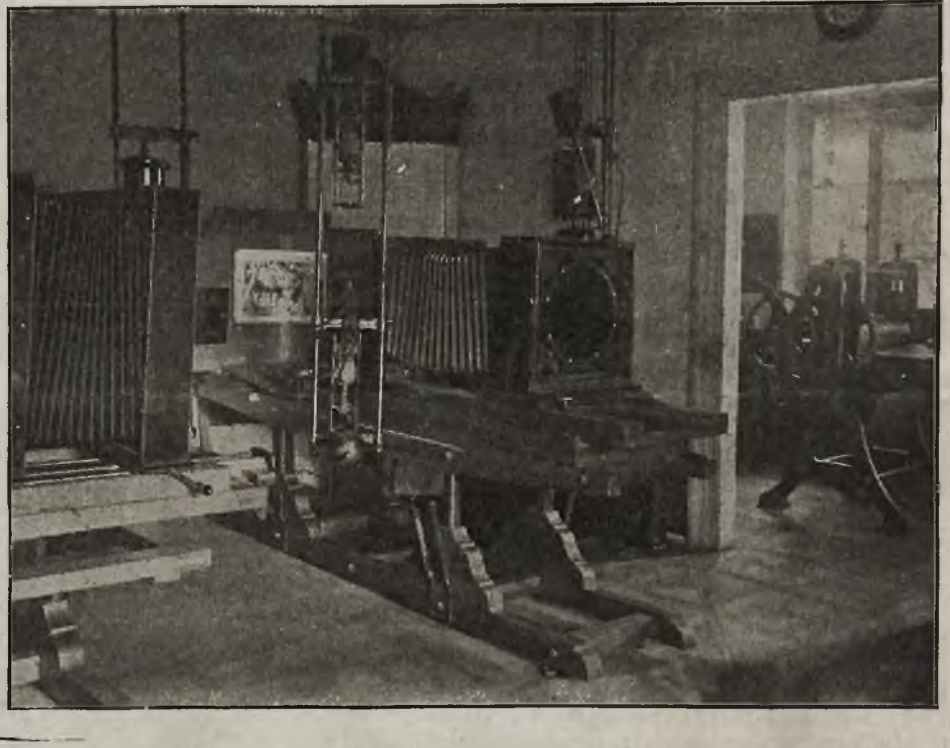
Przemysł graficzny w Krakowie: Zygmunt Gotlieb, właściciel zakładu graficznego »Zorza« w Krakowie,

produkcyjny, mając za sobą długoletnie studya i doświadczenie fachowe, nabyte w pierwszorzędnych zakładach zagranicznych, potrafił przy swej energii i zapobiegliwości mimo wielkich przeciwności, na jakie jest narażone każde nowe przedsiębiorstwo w kraju, postawić w stosunkowo krótkim czasie swój zakład tak wysoko, że dzisiaj prace jego mogą śmiało mierzyć się z najlepszemi tego rodzaju pracami zagranicznemi.

Wielką pomoc i skuteczne poparcie znalazł p. Gottlieb w swych usiłowaniach w Centralnym Związku galicyjskiego przemysłu fabrycznego we Lwowie, w artystach naszych i prasie codziennej. Rychło przekonano się, że „Zorza" potrafi zadowolić nawet najwybredniejsze wymagania i że prace, zakład opuszczające, tak artystycznie, jakoteż i technicznie są bez zarzutu. „Zorza" jest obecnie na ziemiach polskich pierwszym i jedynym zakładem europejskiej miary, który oprócz autotypii i cynkotypii uprawia jeszcze najtrudniejsze i najbardziej artystyczne działy reprodukcyi tj. druk trójbarwny i heliograwurę.

Uprzedzenie znikło i dzisiaj „Zorza" potrafiła już prawie zupełnie wyrugować zakłady zagraniczne i liczy dziś do swych klientów prawie wszystkie instytucye i firmy nakładowe tak w kraju, jakoteż i za kordonem, jak: Akademię Umiejętności w Krakowie, tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, Lwowie i Warszawie, tow. „Nauka i Sztuka" we Lwowie, towarz. „Szkoły ludowej" w Krakowie, Polskie tow. pedagogiczne we Lwowie, tow. „Sztuka" w Krakowie, Red. „Świata" w Warszawie, Altenberg, Połoniecki we Lwowie, Centnerszwer w Warszawie i wielu innych.

Reprodukcye trójbarwne z obrazów najznakomitszych artystów naszych, czy to jako karty albumowe „Świata", czy też jako karty artystyczne



Przemysł graficzny w Krakowie: Wnętrze zakładu graficznego »Zorza« w Krakowie.

oraz świeżo wykonana premia tegoroczna tow. przyj. sztuk piękn. w Krakowie z obrazu Matejki „Stefan Batory" w reprodukcyi heliograwurowej, są najchlubniejszem świadectwem pracowni, z której wyszły.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

17 Ciąg dalszy

— A co miałem mówić? Ta i komu? Pani hrabina przepadała za nim, ślepa była na wszystko, to co było robić? Tak ja i nie mówił nic, cicho siedział, ale mi dziwne było, że ten Prusak nie siedzi, nie gospodaruje, tylko wyjeżdża wciąż, a niekiedy, to i pół roku nie było go w domu. Pani hrabina, często bywało, płacze a płacze, a kryje się z płaczem przed ludźmi. Tak ja raz zaczął o tem z panią hrabiną, że nie ma co płakać, skoro on o panią hrabinę nie dba. A pani hrabina na to, że jemu się tu nudzi u nas w Rosyi, że tu świat dziki, że on do piękniejszego świata przywykł. A ot i jakoś zebrało się pani hrabinie na gadanie ze mną i rzekła, że Werę sprzeda i wybierze się za nowym mężem do jego kraju. Struchlałem, do nóg padłem i całowałem po nogach, by świętej ziemi nie sprzedawała, bo to spuścizna pięciu pokoleń hrabiów Konstantynowów. Ale gdzie tam panie! Jak się baba uprze, to nie poradzić. Szafranu nie przetrze, a baby nie przeprze. Ot — i nieszczęście! Sprzedała pani, sprzedała Werę. Jego nie było z pół roku w domu, tylko listy przychodziły od niego, a w owych listach wciąż się dopominał, aby sprzedała dziedzictwo i do niego pojechała, to i posłuchała. Aj! posłuchała nieboga! Nas, starą służbę odprawiono. No, poczciwa była, to też nie wyrządziła krzywdy nikomu. Ja dostał kilkaset rubli na rękę; inni też dostali, co im się należało. Ano, jak sprzedała Werę, tak zabrała Szaszę i pojechała do Paryża. Płakał ja, płakał, za moim Szaszą i spać nie mógł i nie jadł. W Bogu rada na wszystko, tak ja do cerkwi i świec zapaliłem świętemu patronowi kilka i modlę się, a modlę. Przyszedł ja do domu i zasnął, aż tu śni mi się Przeczysta Dziewica i pokazuje wielkie miasto, niby Paryż i palcem pokazuje, jakby mi tu jechać kazała. Zbudził ja się i modlę się, a modlę, a wciąż mi w oczach Bogarodzica i Paryż. Tak ja się zebrał, wziął moje kilkaset rubli, no i pojechał. Kamerdyner starego pana bywał tu w Paryżu; ja od niego jeszcze za dawniejszych lat nasłuchał się o tem mieście. No to i po francusku coś tam złapałem nie jedno, bom się francuskiej mowy nasłuchał od państwa. Jadę, a myślę sobie, co ja pocznę, gdzie ja będę szukał mej pani i Szaszy? Ano, myślę sobie, w Petersburgu jest naczalstwo policyjne, co wie o każdym, kto do miasta przyjedzie. to i w Paryżu tak być musi. Poszukam policyi i dowiem się. Ot i przyjechałem do Paryża. Wysiadam z kolei, a tu Prusak, mąż mej pani, czeka na mnie. Poklepał mnie po ramieniu, uśmiechnął się do mnie i rzecze, że przyszedł po mnie, abym się nie zgubił w mieście. Naszą mową przemówił, bo się trochę nauczył po rosyjsku. Tak ja oczy wytrzeszczył i dziwuję się, skąd on wiedział, że ja przyjadę. A on mi powiada, że Lorenz mu telegrafował, bo się bał o mnie, aby mi się co złego nie stało. Ten Lorenz, to Prusak, ulubiony służący jego. Został w Weryi i miał za kilka dni wyjechać, a mnie namawiał, abym na niego poczekał. Ale mnie było pilno. Pomyślałem sobie, że to może i jaka zdrada, bo owemu Lorenzowi zawsze źle z oczu patrzyło. Chytry był, jak każdy Prusak. No, ale cóżby mi tu złego zrobili? Tak i zabrał mnie mąż pani hrabiny i jedziemy fiakrem. Tak my i przyjechali do jakiegoś brzydkiego domu. Kazał mi iść za sobą i powiada, że mnie do pani zaprowadzi. A to już było późnym wieczorem, to i ciemno było. Jakiś służący się zjawił i świecił. Idziemy po schodach, wchodzimy do pokoju, potem do drugiego i jeszcze dalej, aż otwarli drzwi do jakiejś pustki. Ja się chcę cofnąć, bo mi strach było, aż on mnie palnął, a tamten zarzucił mi prędko sznur na nogi, żem się przewrócił. Zatkali mi gębę, skrępowali i ręce i nogi i wrzucili do ciemnego dołu, niby do piwnicy, gdziem leżał i myślał, że już życie marnie skończę, aż oto ten uczciwy Francuz mnie wybawił.

Osłabł Trofimowicz ze znużenia i wrażeń, które w nim teraz odżyły. Pokrzepiono go koniakiem, podano krzesło, aby spoczął.

Komisarz nie miał już żadnych wątpliwości. Przyprowadzono i Fabrequetta.

— Rzecz wyjaśniona. Panowie zostaliście uwolnieni, a nie wątpię, że pan prefekt i trybunał sądowy wyrazi panom wdzięczność za ułatwienie wykrycia zbrodniarzy i da panom wszelkie zadosyćuczynienie za doznaną przykrość.

To powiedziawszy, wyprawił komisarz relacyę do prefekta policyi i do sędziego Malverna. Zanim przybył sędzia, zanim prefekt wydał rozkaz, dania asystencyi policyjnej, do pochwycenia zbrodniarzy, dochodziła już godzina trzecia. Z największym pospiechem udano się fiakrami, przez różne ulice, aby nie spłoszyć zbrodniarzy i wreszcie wyprawa dotarła przed dom barona.

Fabrequette z Trofimowiczem popędzili przodem i wpadli do pokoju Szaszy.

* * *

Morderca powaliwszy Kosińskiego, wyrwał sztylet z jego piersi i wzniósł rękę w górę, aby zabić Szaszę, gdy pochwyciły go silne dłonie Trofimowicza. Wyrywał się, szarpał, ale wyrwać nie zdołał. Aż kości w nim trzeszczały, tak go pochwycił Trofimowicz.

— A, mości Fryc, panie marszałku, kamerdynerze, łotrze! jak się masz? co? — krzyknął Fabrequette.

Szasza, zbudzony krzykiem, zerwał się i w pierwszej chwili przeraził, dojrzawszy najpierw mordercę ze sztyletem, ciekącym krwią. Po za plecyma mordercy zobaczył starego sługę.

— Mikołaj Trofimowicz! — krzyknął i skoczył, by mu się rzucić na szyję.

— Cicho, cicho, gołąbku, paniczu. A ot, zmów pacierz, pomódl się do Przeczystej Dziewicy, że cię ocaliła.

— Hej, to ten, co nam usługiwał przy stole, gdyśmy tu z mamą przyjechali. A gdzie pan Kosiński? On tu był wciąż ze mną.

Kamerdyner wytrzeszczył oczy, osłupiał, wargi mu się zatrzęsły. Trofimowicz go nie puszczał. Fabrequette zobaczył leżącego Kosińskiego.

— Boże! ratunku! łotrze! zabiłeś mi przyjaciela. Poczciwy Polak, czuwał przy dziecku, swoją piersią zasłaniał!

W tej chwili weszli Malverne, ajenci policyjni i straż. Kamerdynerowi odebrano zakrwawiony sztylet, wzięto go pod straż. Posłano natychmiast po lekarza, który zajął się Kosińskim.

— Będzie ocalony — rzekł lekarz.

Ułożono rannego na łóżku w przyległym pokoju, a Szasza tulił się do Trofimowicza, to znowu patrzył w bladą twarz rannego, aż ukląkł w kącie, zalał się łzami i modlił się gorąco.

Prócz kamerdynera, ujęła straż i owego Hansa, co jarzyniarza udawał i obu zbrodniarzy odwieziono pod silnym konwojem do więzienia. Malverne pozostał, aby zbadać jeszcze niektóre szczegóły i doczekać się powrotu barona.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z półek księgarskich.

»Macierz Polska«. Opuściła prasę jako nr. 38 »Biblioteki Macierzy« książeczka napisana przez p. Maryę Sandozównę p. t. **»Swięty Jan z Dukli patron Polski«.** Autorka kreśląc życie świętego, roztoczyła jako tło współczesne dzieje Polski i w ten sposób tchnęła w tę piękną książeczkę także gorącego ducha patryotycznego. Tekst zdobi ośm rycin, wśród tych kilka przedstawiających widoki Dukli (widok ogólny, góra Cergowa, kaplica w lesie, ze zdjęć ks. Typrowicza). Cena książeczki 40 hal.

Jako nr. 39. »Biblioteki Macierzy« opuściła prasę książeczka p. t. **»Choroby zakaźne«**, napisana przez prof. dra Domańskiego. Autor opisuje dokładnie poszczególne choroby, podaje ich przyczyny i wskazuje, jak im zapobiegać Omawia kolejno błonicę, cholerę, czerwonkę, koklusz, odrę, różę, tyfus itd., starając się o wykład jasny i przyniesienie czytelnikom jak najwięcej korzyści praktycznych. Głównym celem książki jest pouczenie szerokich kół, jak nie dopuszczać do wybuchu rozmaitych chorób, a gdy wybuchną, jak z niemi walczyć. Cena książeczki (150 stron druku) 1 kor.

Pożyteczne wydawnictwo. Firma Zygmunt Grund we Lwowie, postanowiła idąc z ogólnym prądem społeczeństwa w akcyi wyemancypowania przemysłu z pod jarzma niemieckiego, wyrugować pocztówki obrazkowe niemieckie z kraju. W tym celu skłoniła jednego z najwybitniejszych polskich malarzy zdobniczych, p. Waleryana Krycińskiego, profesora malarstwa zdobniczego w państw. szkole przem. we Lwowie, iż pozwolił reprodukować 10 oryginalnych obrazów, a 14 kompozycyj wykonał umyślnie na pocztówki. Są to obrazki rodzajowe z życia ludu naszego, typy ludowe i krajobrazy z Tatr, ze Śląska i Pokucia; motywy ornamentyki ludowej i zdobienia w guście tegoczesnym. Reprodukcye są znakomite, wykonane według wskazówek i pod osobistym nadzorem prof. Krycińskiego. Wydawnictwo to rzeczywiście artystyczne wymagało znacznych kosztów nakładu, których nakładca nie szczędził, by dać Publiczności nowe pocztówki, prawdziwie piękne.

Konkurs »Kosmetyki« Wychodzący w Warszawie tygodnik dra H. Zamenhofa »Kosmetyka« poświęcony estetycznemu pielęgnowaniu ciała, a redagowany przez fachowe siły lekarskie, którego głównym współpracownikiem z Galicyi jest znany lekarz kosmetyki dr. Luster, ogłosił konkurs na następujące tematy: »Kiedy i dlaczego starzeje się kobieta?« »Dlaczego dziś mamy coraz mniej zdrowych i ładnych kobiet?«, »Emancypacya kobiet i kobiecość«, »Piękność kobieca w literaturze i sztuce«, »W którym roku należy wstępować w związki małżeńskie?« »Czy i kiedy należy uświadamiać młodzież w sprawach seksualnych?« »O niebezpieczeństwie pocałunku«. Prace na konkurs powinny być oryginalne, napisane przystępnie, zajmująco, stylem barwnym i żywym Nagrody są trzy: 200, 100 i 50 rubli. Termin nadsyłania rękopisów upływa z dniem 1-go grudnia b. r.

Zagadka do nagrody.

Szarady.

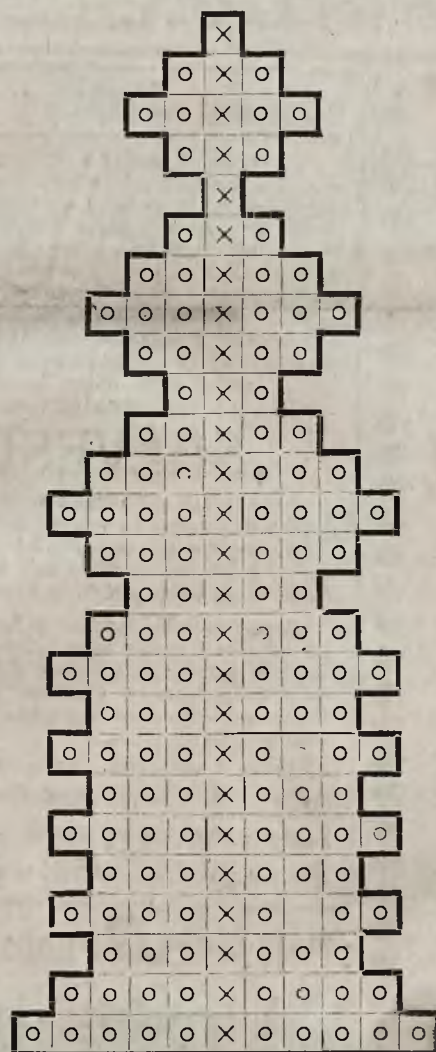
Ułożona przez członków »Związek akademicki«.

Rzecz *pierwsza z siódmą* cię ciekawi,
Piątem ze szóstem kobieta się bawi,
Czwarte i drugie imię rzadko brane,
A *ósme* w mowie Rzymian używane,
Siódme i trzecie jeśli zgadnąć pragniesz,
To myśl swą chyba do przeszłości nagniesz
Naszej, a wspomniesz jakieby to miano,
Tobie w przypadku trzecim nadano;
A gdy tak myśli rozniecisz ognisko,
Znajdziesz co zdala, a zarazem blisko.

Logogryf

Ułożył S. Spunda ze Skały.

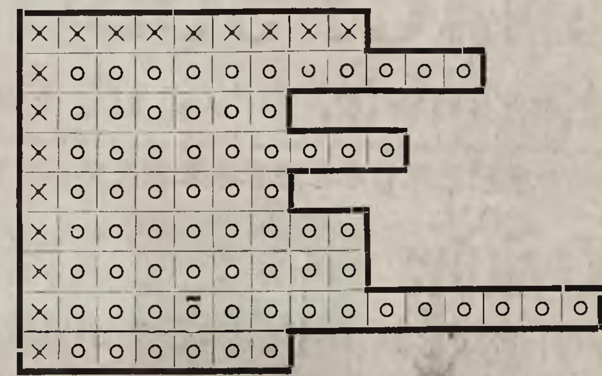
Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków, a czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły znane przysłowie polskie



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Pieniądz włoski. 3. Codzienny artykuł spożywczy. 4. Część ciała 5. Spółgłoska. 6. Drzewo. 7. Imię męskie zdrobniałe. 8. Pieszczotliwa nazwa gołębia. 9. Dawna miara do mierzenia zboża. 10. Zwierzę. 11. Dawna nazwa kapłanów pogańskiej Litwy. 12. Tytuł dramatu Słowackiego. 13. Miasto na Podolu rosyjskiem 14 Inaczej Algierya 15. Miasto w Rosyi, dawna stolica Rusi. 16. Mieszkaniec z nad Bugu. 17 Wysoki urzędnik w dawnej Polsce. 18. 18. Uczta. 19. Bajeczny król grecki 20. Inaczej Kumanowie. 21. Kraj w Afryce. 22. Sędzia polubowny. 23. Miejsce kąpielowe w Czechach. 24. Łódka używana w Wenecyi. 25. Miasto niemieckie w prowincyi nadreńskiej. 26. Nazwisko znakomitego generała polskiego.

Logogryf.

Wiersze poziome zastąpić tytułami dzieł jednego ze znakomitych poetów polskich w ten sposób, aby pierwszy wiersz, jakoteż początkowe litery czytane z góry na dół, dały nazwisko tegoż poety.



Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy bombonierkę z cukierni Piaseckiego w Krakowie

Rozwiązanie zagadek z Nru 38.

Kryptogryf.

Sherlock Holmes.

Szarada.

Batory.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: R. Jaworski Lwów, M. Arbesbauer Lwów, B Ramułtowa Jeżów, F. Niepokój Krosno, A. Mussil Lwów, Z. Stojanowski Przemyśl, S. Spunda Skała Z. Malski Lwów, A. Zimerowa Mikuliniec, J. Badura Rozdzień, J. Haładej Górki, B. Marek Lwów, H. Zielińska Manajów, Cukiernia Noworolskiego i Krowickiego Stanisławów, Z. Jaroszyński Błudniki, Grot Kołaczyce, H. Leligdowicz Fraga, K. Fuchs Czeremchów, Stow. ku wspieraniu położnic Tarnów, M. Małaczyński Pikułowice, E. Bogdalska Koropuż, I. Jastrzęgska Lublin, I. Ettinger Warszawa, I. Cimirski Stanisławów, P. Drzewiecka Lwów, Związek akademicki Kraków, W. Czerkawski Przeworsk, W. Samborski Kraków, Z. Furko Kraków, A Miecik Trembowla, K. Kisielewicz Limanowa, L. Ptaszewski Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. L. Ptaszewski Tarnów; prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.







I-szy Lwowski zakład reperacyi, przerabiania, czyszczenia i prasowania wszelkiej odzieży **Jan Sozański** kantor zamówień: **Lwów, pl. Wekslarski 3** Przyjmuje po bardzo niskich cenach wszelką zniszczoną odzież do gruntownej reparacyi

IGNACY SOBOLEWSKI

w Krakowie, przy ul. Grodzkiej L. 3.

Magazyn towarów bławatnych i gotowej Konfekcyi damskiej.

Towar doborowy 25—52 Ceny umiarkowane

Uwaga: Magazyn w niedziele i święta zamknięty.

Kraków Sławkowska L. 3

Kraków Hotel Saski

Telefon 516 Telefon 516



ZDZISŁAW ZDANOWICZ

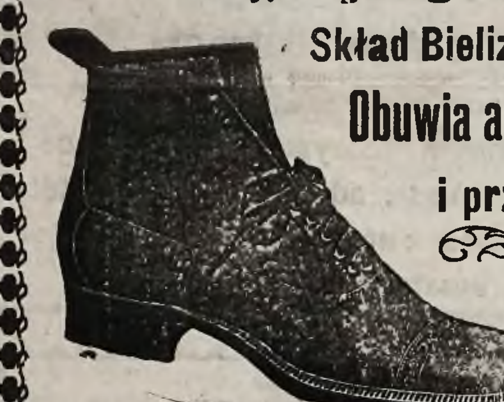


Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy,

Obuwia amerykańskiego

i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Szkodliwość nikotyny usunięta!

Zastosowanie wiedzy w życiu praktycznem wydało już niejednokrotnie zdumiewające rezultaty, przyniosło wiele pożytku ogółowi. Dziś higiena święci prawie na każdym kroku tryumfy, zrozumiałem więc jest, że i fabrykacya **tutek cygaretowych** — czyni postępy w tym kierunku, lecz nie wszędzie i nie zawsze z dodatnim rezultatem.

Moje wieloletnie próby, upodstawnione nauką i fachowem doświadczeniem, uwieńczone zostały ostatnimi czasy zdumiewającym skutkiem. Udało mi się bowiem dojść drogą badań do preparatu, znanego już dziś prawie wszędzie, pod nazwą:

„SALVESOL“.

Jest to **wata chemiczna**, mająca tak wielce pożądaną dla palących papierosy własność, że, by mnie nie posądzono o czczą przechwałkę — odsyłam Sz. Czytelnika do poniżej umieszczonego **uznania**, jakiem raczył mnie zaszczycić Wny Prof. Dr. **A. Mars.**

Z przyjemnością donoszę WPanu, że od czasu, jak używam Pańskiej waty **„Salvesol“** w cygarniczkach szklanych, nie doznaję przykrych objawów, które mi dokuczały skutkiem palenia tytoniu. Wobec tego upraszam o nadesłanie mi za pobraniem pocztowzm i t. d.

Lwów, 2 maja 1903. Z wysokiem poważaniem

(4) *Prof. Dr. Antoni Mars.*

Zakład przemysłowy wyrob. papier. „Noris“

Mr. W. BEŁDOWSKI w Krakowie 3.

: Najświeższe i najmodniejsze :

Artykuły wełniane i włóczkowe

jako to:

BOA strusie, marabou i futrzane. **HALKI** damskie i dziecięce. **BOLERA** damskie i dziecięce. **POŃCZOCHY** damskie, męskie i dziecięce. **SKARPETKI** męskie i dziecięce. **RĘKAWICZKI** damskie, męskie i dziecięce. **KAMASZE** damskie i dziecięce. **KAFTANIKI** damskie, męskie i dziecięce. **OGRZEWACZE** ciała hygieniczne. **BLUZKI** włóczkowe, wełniane i barchanowe. **SPODNICE** wełniane do bluzek

polecają w największym wyborze i po najniższych cenach

PORĘBSKI & ZIMLER

W KRAKOWIE, RYNEK 8.

Nauczyciel tańców

ADOLF PION 39—46

Urządza kurs specyalnie dla dzieci a to układu gracyi i tańców zbiorowych. — Wpisy co dzień od 11—1 rano.

Kraków, ul. Floryańska L. 32, I. p.

A. M. MIRKIEWICZ, Kraków, Mostowa 4

specyalista bandażysta

fachowiec od lat 25 — poleca się osobom cierpiącym na różne **przepukliny pachwinowe** oraz **Pasy brzuszne.** Listowne objaśnienie. Za dobroć ręczy. Wymiana bez trudności. Na życzenie wyjeżdża.

SKRZYPCE

DLA UCZNIÓW

wraz ze

smyczkiem i pudełkiem kompletne K 12·—



Skrzypce te prawdziwie czeskie, cieszące się sławą z powodu bardzo dobrej jakości, dostarcza się wraz z odpowiednim smyczkiem, futerałem drewnian., kalafonią, strunami rezerwowymi, podstawką i gwizdkiem głosowym po cenach następujących:

Nr. 124 Dobrze grające skrzypce, **kompletne**, jak wyż. opisane K 12.
„ 126 Lepsze skrzypce, z silnym dźwiękiem, kompletne . „ 14.
„ 128 „ „ eleg. lakier. z garnitur. heban. kompl. „ 16.
„ 130 Najstaranniej wykonane skrzypce, silnie i pełnodźwięczące, z garniturem hebanowym, kompletne . . „ 20.

Zestawienia takie nadają się szczególnie na podarki dla początkujących i uczniów. — Opakowanie w drewnianej skrzynce 70 hal. Nieodpowiadające przyjmuje się chętnie napowrót, lub wymienia się takowe.

HANNS KONRAD, Dom przesyłkowy instrumentów muzycznych

w Brüx, Nr. 547 (Czechy) 37—51

Bogato illustr. polski cennik z przeszło 3000 rycin. darmo i opłatnie.

Najlepsze budziki Zarejestrowana marka.

Do nabycia tylko w mojej firmie



3-letnia pisemna gwarancya!

Jeżeli się nie spodoba, zwracam pieniądze

Z 1 dzwonkiem, stalową kotwicą i zatrzymywaczem K 3·80, ze świecącą w nocy tarczą K 4·20 z 2 dzwonkami, stalową kotwicą i zatrzymywaczem K 4·40, ze świecącą w nocy tarczą K 4·80. konkurencyjny budzik K 2·90, ze świecącą w nocy tarczą K 3·80.

3-letnia pisemna gwarancya.

Jeżeli się nie spodoba, zwracam pieniądze.

Wysyłka za zaliczką

HANNS KONRAD, c. i k. nadw. dostawca

Pierwsza fabryka zegarów w Brüx Nr. 553.

Proszę żądać mego 8000 rycin zawierającego głównego cennika darmo i opłatnie. 37—51

Najlepsza rozrywka dla prowincyi!



Gramofony marki z aniołkiem jakoteż **Favorite**

po cenach fabrycznych. — Płyty z dwóch stron do grania, najnowszych zdjęć — poleca

OSKAR BERGNER

Lwów, Pasaż Hausmana 8

Katalogi i spis płyt franco. Wysyłka na prowincyę odwrotnie.

Ulgi w spłatach



W. HALSKI, KRAKÓW

SUKIENNICE

20—51 poleca swój (1)

największy skład wszystkich systemów

maszynek gazowo-naft. i gazowo-spirytusowych

naftowe:
Primus Nr.: 0. 1J 1 podwójny — kor. 13 14 15 kor. 30
Optimus kor. 12

spirytusowe:
Caesar K 7.50, **Simplex** K 4·70, podwójny **Duplex** kor. 8.
Ideal K —·60 K 1·80 K 2·20 — cynowane mosiężne niklowane

Nowy Zakład tapicersko-dekoracyjny

prowadzony na wzór angielski

D. LINDENBAUM

LWÓW, PASAZ MIKOLASCHA.

Otrzymuje na składzie dla wygody Szan. P. T. Publiczności wielki wybór stylowych mebli tapicerowanych i dekoracyjnych. Przyjmuje również po umiarkowanych cenach do przerabiania meble najstarszych stylów na style najgustowniejsze; również podejmuje się udekorowania firanek i portyer, jakoteż wszelkich robót w zakres tapicersko-dekoracyjnych wchodzących. 39—42

Manicure

uskutecznia Salon fryzyerski M. Wiśniewskiego, Kraków, ulica Długa L. 24, nadając palcom i paznogciom piękną forme i ładny wygląd. 37—39

Futra

miastowe i podróżne oraz Kolje i Kołnierze podług najnowszych fasonów - poleca

MAGAZYN FUTER

BRACI KRZYWYCH

LWÓW, ul. Akademicka 3 (obok WP. Schayera)

Materye na wierzchy w wielkim wyborze

40—51 Wykonanie staranne.

Ceny przystępne. Cenniki darmo i opłatnie.

Kompletne wyprawy dla położnic, Pasy brzuszne w wielkim wyborze, Opaski menstruacyjne różnych systemów

poleca najtaniej

SKŁAD APTECZNY

Jadwigi Klemensiewiczowej i Spółki

w Krakowie, ulica Karmelicka 15.

Wyłączna sprzedaż na Kraków naczyń „SFINKS“

TOMASZ GÓRECKI

główny skład naczyń kuchennych

KRAKÓW, RYNEK GŁ. L. 9

poleca

kompletną wyprawę kuchenną

z najtrwalszej emalii niewypryskującej

50 przedmiotów. „SFINKS“ Cena 50 koron. 33—52

Szczegółowe zestawienie na żądanie

Hotel Victoria

Telefon 780 **Kraków, ulica Zwierzyniecka 6.** Telefon 780

piękne położenie, obok plantacyj, centrum miasta, 2 minuty od rynku, stacya tramwaju elektrycznego, nowo odrestaurowany i powiększony poleca pokoje umebiowane od **K 1·—** za dobę wraz z obsługą. Nowo otworzona **Restauracya i Kawiarnia.** — Posłaniec hotelowy do każdego pociągu. — **Łazienki w Hotelu Victoria**